



MIRANDA JARRETT



Wawrzyn i jemiola

Rozdział 1

Newport, Rhode Island, 1770 rok

- Ojczy, chciałabym cię zawiadomić, że pan Howland poprosił mnie o rękę - powiedziała Bethany Sparhawk lekko drżącym głosem. - A ja się zgodziłam.

W salonie zapadła złowroga cisza, z każdą sekundą coraz trudniejsza do zniesienia. Bethany stała twarzą do lustra wiszącego nad kominkiem. Widziała w nim barczyste ramiona ojca, zaciśnięte z tyłu dłonie i siebie - małą przy jego masywnej postaci. W swoim ciemnym ubraniu wydawał się tak potężny i groźny, że Bethany skuliła ramiona w oczekiwaniu na wybuch, który, jak wiedziała, był nieunikniony.

Wreszcie się zaczęło.

- William Howland chce się z tobą ożenić? - zagrział Gabriel Sparhawk. - Howland ma czelność ubiegać się o rękę mojej córki?

- Tak, ojczy.

Bethany natężyła całą siłę woli, by wytrzymać ojcowskie spojrzenie, lecz jak zwykle przegrała tę potyczkę. Spuściła głowę i wbiła wzrok w srebrne klamerki butów wystających spod różowej sukni.

- Myślimy, że ślub mógłby się odbyć w przyszłym miesiącu, na Boże Narodzenie.

- Myślicie?! A gdyby tak zapytać, co ja myślę? Chyba diabeł cię opętał, że chcesz wiązać się z człowiekiem, który mógłby być twoim dziadkiem!

- William ma tylko czterdzieści siedem lat, ojczy - zaprotestowała słabo Bethany. - Ja w przyszłym roku skończę dwadzieścia jeden, więc...

- Dziękuję, sam umiem liczyć. Musisz wiedzieć, że to wszystko wcale, ale to wcale mi się nie podoba.

Bethany nie odrywała oczu od lśniących klamerek, wypolerowanych starannie

jak gong na statku, który stanowił własność jej ojca. Gabriel Sparhawk zawsze wymagał bezwzględnego posłuszeństwa - zarówno od swojej załogi, jak i od dzieci.

- Dlaczego się zgodziłaś...

Nie skończył, zaklął tylko pod nosem. Ujął córkę za podbródek i zbliżył jej twarz do swojej, tak że nie mogła już uciec od jego wzroku.

- A może on cię zhańbił, dziecko? - Zielone oczy przyglądały się jej badawczo. - Tyle czasu z nim ostatnio spędzałaś... Powiedz, czy zrobił coś takiego, że teraz musisz go poślubić? Bo jeżeli tak, to przysięgam...

- Ciszej, Gabrieliu, nie bądź śmieszny! - Gniewny głos męża sprowadził Mariah do salonu. Łagodnie przyciągnęła córkę do siebie, uwalniając ją tym samym z żelaznego uścisku ojcowskiej ręki.

- Nasza Bethany nigdy nie przyniosłaby wstydu rodzinie.

Pewność matki bolała Bethany równie mocno jak podejrzenia ojca. Oczywiście nigdy nie okryłaby hańbą rodziny. Jakże mogłaby to uczynić - była przecież małym, szarym ptaszkiem, na którego nikt nie zwracał uwagi, kiedy obok kręciła się jej piękna i pociągająca siostra.

- William Howland po prostu okazał jej przyjaźń, ot i wszystko. - Matka w opiekuńczym geście otoczyła Bethany ramieniem. - Zgadzam się, że mogłaby inaczej spędzać czas, zamiast siedzieć z nosem w książkach o malarstwie, które on jej pożycza, ale nie ma powodów do niepokoju. Jedyne, czego żałuję, to że pozwoliłam jej pójść do niego do domu.

- Powodów do niepokoju! - powtórzył drwiąco Gabriel. - Zaraz pokażę ci te powody! Howland poprosił ją o rękę, ma ochotę na posag.

- To nie tak, ojczy, przysięgam, że jest inaczej! - udręczona Bethany odważyła się podnieść głos. - Dlaczego nie wierzysz, że Williamowi zależy na mnie, a nie na twoich pieniądzech?

- Oczywiście, że na tobie, moje maleństwo - powiedziała matka łagodnie, ale Bethany złowiła poirytowane spojrzenie, jakie Mariah posłała mężowi. - Twój

ojciec troszczy się o ciebie, obydwójce się troszczymy. Nie chcemy, żeby ktoś cię skrzywdził. Małżeństwo to poważna sprawa, a ty jesteś bardzo młoda.

- To dlaczego Jerusa już dwa lata temu mogła się zaręczyć z Thomasem Carberrym!

- Twoja siostra różni się od ciebie, tak zresztą jak Thomas Carberry różni się od Williama Howlanda. Ona była w stanie rozeznaczyć się w swoich uczuciach i wybrać właściwego kandydata na męża.

Upokorzona Bethany dotknęła swoich rozpalonych policzków.

Jerusa uchodziła w Newport za prawdziwą królową piękności i mimo wyznaczonej już na wiosnę daty ślubu z Thomasem nieustannie otaczały ją tłumy młodych mężczyzn. Na nią za to żaden z nich nigdy nawet nie rzucił okiem.

- Znam swoje uczucia, mamó - powiedziała ze smutkiem. - Nie mogłabym wymarzyć sobie lepszego męża niż pan Howland.

- Ależ to wdowiec, w dodatku tyle starszy od ciebie! Prawda, że jest jeszcze przystojny, lecz... - Mariah zamyśliła się. - Może bylibyśmy skłonni wziąć pod uwagę długi okres narzeczeństwa, dwa lata, jak u twojej siostry. Nie wiem, musimy to rozważyć.

- Nie, mamó, błagam - wybuchnęła Bethany i z jej ust potoczyła się istna lawina słów. - Chcielibyśmy pobrać się na Boże Narodzenie, kiedy Jon i Joshua przyjadą do domu i wszyscy razem będziemy w Crescent Hill. Pastor Carter udzieliłby nam ślubu w holu, zamiast kwiatów zawiesilibyśmy jemiolę i wieńce z wawrzynu i ostrokrzewu, dla gości przyniosłoby się krzesła z jadalni, to byłoby takie cudowne, mamó, ojczu, proszę, powiedzcie „tak”!

- Och, moje maleństwo - westchnęła matka, w której oczach, mimo bladego uśmiechu, zdawały się kręcić łzy. - Już wszystko sobie zaplanowałaś, tak? Więc kochasz tego swojego pana Howlanda tak bardzo, że nie możesz czekać dłużej niż sześć tygodni?

Jej pan Howland. Bethany nigdy jeszcze nie myślała o Williamie w ten

sposób. Znała go całe swoje życie, był sąsiadem z tej samej ulicy, ale charakter ich wzajemnych stosunków zmienił się gwałtownie dopiero kilka miesięcy temu. Jego dom stał się dla niej azylem, do którego uciekała przed wiecznym gwarem rodzinnej rezydencji. Pomyślała o tym, jak się uśmiecha, kiedy ich oczy się spotykają, jak chce poznać jej zdanie w różnych kwestiach i słucha uważnie jej opinii. Przypomniała sobie dzień, w którym zerwał dla niej ostatnią letnią różę ze swojego ogrodu. Nazwał ją wtedy swoją najdroższą Bethany, ostrożnie ujął jej palce i pocałował.

- Tak, mamó - szepnęła, jakby sama bała się usłyszeć prawdę. - Tak właśnie jest.

Rodzice wymienili spojrzenia, tym razem wolne od gniewu. Po dwudziestu sześciu latach małżeństwa ciągle porozumiewali się ze sobą jak dwoje zakochanych. Bethany zastanowiła się nad czymś, co nigdy nie przyszło jej do głowy - czy i ją połączy z Williamem takie uczucie, któremu nie potrzeba będzie słów?

- Dziecko drogie! - Wzruszona Marian objęła córkę. Bethany poczuła znajomy zapach lawendy i z przyjemnością wtuliła nos w miękkie rękawy jej satynowej sukni. - Kiedy ty zdążyłaś dorosnąć, by tak się zakochać?

Gabriel Sparhawk chrząknął głośno.

- Interesy Howlanda idą chyba wystarczająco dobrze, żeby mógł utrzymać żonę - powiedział szorstko. - Ma tylko jednego syna, więc kontrakt powinniśmy sporządzić bez większego trudu.

- Niech licho porwie twoje kontrakty - rzuciła niecierpliwie Mariah i w tym momencie Bethany była już pewna zwycięstwa. - Musimy przygotować wesele. Cóż to będą za święta!

Rozdział 2

Po dwóch miesiącach podróży statkiem Robin Howland postanowił bez zwlekania skorzystać z możliwości spaceru po stałym lądzie. Zamiast czekać na bagaż, zarządził, by wypełnione po brzegi kufry i skrzynie odesłano pod adresem ojca, sam zaś ruszył piechotą. Do Newport wracał po dziesięciu latach, pierwszy raz od swego wyjazdu do Anglii. Idąc tak o zmroku w stronę rodzinnego domu, rozglądał się ciekawie i patrzył, co się zmieniło.

Ojciec nie mógł się nachwalić w listach, jaki piękny jest teraz Newport, jak się wzbogacił i rozwinął - wybudowano nowe, eleganckie rezydencje, wzniesiono dużą halę targową z cegły, pojawiły się domy handlowe i dziesiątki nowych sklepów na nabrzeżach. Tymczasem Robin, przyzwyczajony do skali i rozmachu Londynu, poczuł się rozczarowany - oto rozciągało się przed nim beznadziejnie małe prowincjonalne miasteczko.

Pomyślał jednak, że sądzi zbyt surowo rodzinne strony, i zaczął szukać śladów dzieciństwa, tych wszystkich miejsc, które kiedyś były mu drogie. Właśnie mijał jabłoń należącą do wdowy McGeery, teraz bezlistną i smutną, ale to przecież na to drzewo wdrapywał się co roku razem z całą bandą kolegów, by strząsać pachnące jabłka; w pobliżu był Queen Anne Square, a przy nim kościół z białych desek, w którym rodzina Howlandów miała własną ławkę. Na przykościelnym cmentarzu spoczywała jego matka, pochowana tam, kiedy miał zaledwie tydzień. Przy Bowen's Wharf mieścił się kantor ojca; wiatr kołysał teraz szyldem, którego złote litery głosiły: William Howland & Syn, Newport & Londyn.

Robin ciaśniej ściągnął poły płaszcza. Zdażył już porządnie zmarznąć, tymczasem śnieg padał coraz gęstszy. Newport powitał go chłodem, a on zastanawiał się, jak też ojciec zachowa się na jego widok.

Mimo dziesięciu lat, które minęły, doskonale pamiętał nie skrywaną złość i rozczarowanie ojca, gdy przyszedł pożegnać go na nabrzeżu. William Howland

wymarzył sobie, że Robin będzie pierwszym prawdziwym dżentelmenem w rodzinie. Sam poświęcał swój czas i energię na pomnażanie majątku, syn zaś miał jedno zadanie - uczyć się. Robin uczył się więc, i to tak dobrze, że w wieku szesnastu lat został bez trudności przyjęty do Harvard College.

Z dala od surowych napomnień ojca i od smutnego domu, w którym nie było matki ani rodzeństwa, natura młodego człowieka doszła do głosu z wyjątkową gwałtownością. Stał się raczej hulaką w wielkim stylu niż wykształconym młodzieńcem. Niestety, jedna z biesiad w domu publicznym, gdzie bawił się razem ze swoimi dobrze urodzonymi kompanami, skończyła się wizytą nocnego patrolu. Robin został odesłany do domu z zakazem powrotu do szkoły.

Kara, jaką wymierzył mu ojciec, okazała się równie bolesna. Nie chciał zostać dżentelmenem, będzie kupcem w rodzinnym przedsiębiorstwie, postanowił William Howland. Najpierw popraczykuje u wuja w Londynie, potem, kiedy już coś będzie umiał, poprowadzi w Anglii ojcowskie interesy.

Na wygnaniu Robin desperacko próbował zrehabilitować się po dawnych wyskokach. Dzięki jego staraniom firma nie tylko przynosiła spodziewane zyski, ale i on sam zamienił się w prawdziwego panicza. Mimo to w ciągu dziesięciu lat przepaść między nim a ojcem tylko się pogłębiła: ich listy ograniczały się do spraw handlowych, ojciec nigdy nie zachęcił go do odwiedzenia domu, Robinowi też nie przyszło do głowy, żeby wybrać się w podróż. Aż do tej chwili.

Chuchnął w zmarznięte ręce, żałując, że nie wziął ciepłych rękawiczek. Pomyślał, że ojciec na pewno bardzo się zmienił - zbliżał się przecież do pięćdziesiątki. Może jednak będzie miał dość sił, żeby do Londynu wrócili razem, jak to sobie zaplanował.

Było już prawie ciemno, kiedy skręcił w Farewell Street i stanął przed domem. Śnieg bielił się na dachu, przykrywał mosiężną kołatkę i gałkę u drzwi; tylko po marmurowych schodach dało się poznać, że niedawno przeszedł tędy służący z miotłą. Okna frontowych pokoi zasłaniały okiennice, ale ze środka

przedostawało się słabe światło - ojciec był więc w domu. Robin zdjął swój czarny trójgraniasty kapelusz, otrzepał go ze śniegu i z niecierpliwością pchnął drzwi.

Młoda pokojówka wbiegła z kuchni do holu, wycierając ręce o fartuch. Stała jak wryta na widok obcego mężczyzny, który miał czelność wejść do domu bez pukania. Robin położył palec na ustach, żeby nic nie mówiła.

- Drzwi chyba stuknęły, Martho? - rozległ się z salonu głos ojca, głos, którego nie sposób było pomylić z żadnym innym.

Dziewczyna już chciała odpowiedzieć, ale Robin pokręcił głową i mrugnął do niej tak, że nie tylko się nie odezwała, ale i zaczerwieniła.

- Martha? Gdzież ty jesteś?

Zadudniły kroki, otworzyły się drzwi do salonu i stanął w nich ojciec, gotowy do wyjścia, trochę cięższy, z twarzą nieco bardziej pomarszczoną, ale poza tym dokładnie taki, jakim go Robin zapamiętał sprzed dziesięciu lat.

- Robin? - ochryply szept nie wyrażał nic oprócz zdziwienia. - To naprawdę ty, chłopcze?

- We własnej osobie - odpowiedział Robin ze ściśniętym gardłem. - Marnotrawny syn wrócił.

Starszy z mężczyzn zmarszczył brwi i spojrzał na zegarek.

- Chyba nic się nie stało w firmie? Nic, o czym nie mógłbyś napisać w liście?

- Nie, ojcze, wszystko w porządku.

Żadnego powitania, nawet zdawkowej uprzejmości. Robin obawiał się przez całą drogę, że właśnie tak będzie wyglądał ten powrót, ale na przekór wszystkiemu żywił nadzieję, że stanie się inaczej. Teraz z goryczą stwierdzał, że ojciec ani trochę się nie zmienił.

- Tak jak mówisz, nic się nie stało.

- No to po co przyjechałeś do Newport?

Dla ciebie, ojcze! - miał ochotę krzyknąć Robin, ale zdobył się jedynie na kwestię, którą przygotował sobie na wypadek takiej sytuacji:

- Minęło dziesięć lat, ojcze, i błagam, byś wziął pod uwagę, że przez ten czas...

- Żadnych błagań - przerwał mu William. - Howlandowie o nic nie błagają, nawet w przemówieniach.

Robin szybko kiwnął głową. Walczył ze sobą, żeby nie odwrócić się na pięcie i nie trzasnąć drzwiami. Chyba na dworze byłoby mu cieplej niż tu, w holu rodzinnego domu.

- Wydawało mi się, że nadszedł odpowiedni czas, żeby pozbyć się tego, co nas dzieli. Czy może być lepszy moment niż Boże Narodzenie, Nowy Rok?

- Boże Narodzenie! - parsknął ojciec. - Myślałem, że masz więcej rozsądku, a ty tłuczesz się po oceanach, bo będą jakieś głupie święta!

- Ojcze, jeżeli to nic dla ciebie nie znaczy, w takim razie ja...

- Nie, Robinie, wysłuchaj przynajmniej, co mam do powiedzenia - zirytował się William Howland. - Jesteś już tutaj, może i lepiej się stało. Otóż po tych wszystkich latach zdecydowałem się powtórnie ożenić, a moja wybranka zechciała mnie przyjąć. Ślub planujemy na święta i myślę, że twoja obecność zrobi dobre wrażenie.

Zaskoczenie młodego człowieka było tak wielkie, że z trudem znalazł odpowiednie słowa.

- Gratuluję, ojcze. Życzę tobie i tej damie wszystkiego dobrego.

- Dziękuję, chłopcze. - Ojciec uśmiechnął się pierwszy raz w czasie tej rozmowy. - Idę o zakład, że myślałeś, iż jestem za stary, by mi się spodobała jakaś ładna buzia, co?

Tak właśnie było, ale w końcu w mieście takim jak Newport, gdzie mężczyźni zarabiali na życie na morzu i często na nim ginęli, aż roiło się od ładnych wdówek, gotowych do ponownego zamażpójścia. Robin powiedział sobie w duchu, że raczej należałoby się dziwić, dlaczego ojciec zwlekał tak długo.

- Moja panna Sparhawk ma rzeczywiście śliczną buzię. Długo cię nie było,

ale chyba pamiętasz Sparhawków?

- Sparhawków?

Oczywiście, że pamiętał. Każdy człowiek z Newport znał to nazwisko. Mężczyźni w tej rodzinie byli niewiele lepsi od piratów, same zabijaki, co do kobiet zaś...

Robin nie wierzył własnym uszom.

- Na miłość boską, wszyscy, tylko nie oni!

- A dlaczegoż by nie? Za prości jak na gust panicza z Londynu?

- Dla ciebie też za prości, ojczy. - Robin był już zbyt zmęczony, by uważać na to, co mówi.

Synowie Sparhawków byli właścicielami statków, tak jak ich ojciec, i w Londynie setki razy miał z nimi do czynienia. Ilu dobrych klientów, ile przewozów stracili Howlandowie przez te drapieżne bestie. Nie wyobrażał sobie, by mogli zostać rodziną.

- Nie żałuję, że diabli wzięli tego starego łobuza - powiedział znużony. - Ale nawet gdyby zostawił wdowie całą górę złota, i tak nie powinienes się z nią żenić. Pamiętasz te historie, jak obydwójce znikali, żeby łupić Francuzów. Przecież ona była prawie dzieckiem, mimo że urodziła mu już nie wiem ile bękartów.

- Sześcioro - powiedziała drobna kobieta, która nagle pojawiła się w drzwiach salonu. - Mam dokładne wiadomości, bo jestem jednym z nich, mogę też pana zapewnić, że mój ojciec ma się całkiem dobrze i ani mu w głowie odchodzić z tego świata.

Robinowi odjęło mowę. Patrzył na kobietę w czarnej pelerynie i zastanawiał się tylko, co go podkusiło, żeby powiedzieć te wszystkie rzeczy. Była bardzo młoda - kto by przypuścił, że ojciec wybierze sobie na żonę osobę, która mogłaby być jego córką? Jeżeli rzeczywiście nazywała się Sparhawk, to wcale nie przypominała reszty swojej rodziny. Po pierwsze była niska - ledwie sięgała ojcu do ramienia, poza tym w odróżnieniu od tamtych miała jasną cerę i włosy.

Skłonił się nisko, próbując naprawić gafę. Ojciec mógł go przecież uprzedzić o jej obecności, nie zrobiłby z siebie głupca!

- Panno Sparhawk, proszę wybaczyć moją nierozwagę.

- Rzeczywiście, okazał się pan bardzo nierozważny - odpowiedziała cierpko. - Nie tylko zakwestionował pan moje prawowite pochodzenie, ale jeszcze nazwał moją matkę ladaczną.

- Wiem, że nie mogę oczekiwać przebaczenia. - Robin trwał w głębokim ukłonie. - Nigdy nie powinienem był tak się wyrazić.

- Powiedział pan to, co myśli, a te piękne przeprosiny nie zmieniają smutnej prawdy. - W jej głosie ciągle pobrzmiewała niechęć. - Mogę tylko zapewnić, że nasza rodzina nie jest tak straszna, jak ją pan odmalował.

Trudno, w końcu ona też jest jedną z nich, pomyślał ponuro i już był gotów więcej się nie usprawiedliwiać. Wyprostował się i zobaczył wtedy, jak ojciec w opiekuńczym geście przyciągnął ją do siebie i ścisnął w swojej ręce jej małą dłoń. Widać było, że nie trzeba im słów, żeby się porozumieć. William Howland patrzył na nią z taką czułością! Robin poczuł ukłucie zazdrości - tej jasnowłosej dziewczynie ojciec dał w swoim sercu miejsce, którego odmówił synowi.

- Bethany, to mój syn Robin. Bóg świadkiem, że próbowałem lepiej go wychować i przekazać mu lepsze maniery niż te, którymi przed chwilą się popisał.

- Ojcze, mogę zapewnić, że...

- Mam już powyżej uszu twoich zapewnień - powiedział krótko ojciec, wkładając kapelusz. - Teraz odprowadzę Bethany, a my porozmawiamy później.

Młoda kobieta przykryła włosy kapturem, a William otworzył przed nią drzwi. Do sieni wpadło kilka płatków śniegu. Robin został sam. Tępy wzrokiem wpatrywał się w ozdobną kolumnienkę, którą zaczynały się schody prowadzące do pokojów na górze. Jej szczyt wieńczył rzeźbiony ananas - symbol gościnności. Witaj w domu, pomyślał gorzko.

Rozdział 3

- Jerusa, nie śpisz jeszcze?

Starsza siostra Bethany poruszyła się w łóżku.

- Jak mogę spać, skoro mówisz do mnie?

- Przepraszam, Rusa, ale to ważne - powiedziała błagalnie Bethany. - Zrobiłam dziś coś bardzo złego i nie wiem, co teraz będzie.

- A co ty mogłaś złego zrobić? - mruknęła Jerusa. - Wsypałaś tatusiowi do kawy soli zamiast cukru?

- Nie śmiej się ze mnie, proszę! Godzinami wysłuchiwałam twoich opowieści o najdroższym Tomie, więc mogłabyś chociaż raz mi się odwdzięczyć.

- Dobrze już, dobrze. Poczekaj.

Jerusa uklękła, by odsunąć zaciągniętą już na noc zasłonę, i w ciemności namacała na nocnym stoliku świeczkę i krzesiwo. Kilka iskier prysnęło, gdy zapalała knot. Ostrożnie postawiła mały lichtarz na środku szerokiego łóża.

Matka kategorycznie zabraniała im dwóch rzeczy: palenia świeczki w łóżku - z powodu ryzyka pożaru, a także utrzymywania na noc ognia w piecyku - bo był to kosztowny zbytek. Temperatura w sypialni dziewcząt była o wiele za niska na tę listopadową noc, z tym większą więc przyjemnością naruszały przynajmniej jeden z matczynych zakazów. Poza tym tylko w łóżku, przed snem, mogły swobodnie rozmawiać, bez ryzyka, że podsłucha je któryś z braci albo młodsza siostra.

Przytrzymując świecę, Jerusa naciągnęła kołdrę na ramiona. Migotliwe światło rozjaśniło jej twarz. W przeciwieństwie do Bethany odziedziczyła wszystkie charakterystyczne dla rodziny cechy - ciemne włosy, zielone oczy i niezmaconą pewność siebie, uważaną przez niektórych za zuchwałość.

- No to powiedz mi, Anny-Beth, co to za straszny czyn dziś popełniłaś - odezwała się.

Bethany nerwowo skubała koniec warkocza. Jerusa na pewno mogła coś jej

poradzić, bo chociaż starsza tylko o dwa lata, znacznie lepiej znała się na subtelnościach męskiej duszy.

- Wiesz, że do portu zawinął dzisiaj statek z Londynu?

- Z Londynu? Co ty powiesz, nie wiedziałam! - Jerusa ożywiła się nagle. - Słyszałaś może, czy kapitan przywiózł jakieś materiały? Wymyśliłam, że na twój ślub założę suknię z ciemnośliwkowego jedwabiu, ale w sklepach nie mają nic odpowiedniego.

- Posłuchaj, tu chodzi o coś znacznie ważniejszego od głupiej sukienki. Otóż tym statkiem przyплыł syn Williama, Robin. Całkiem nagle, nikt się go nie spodziewał. Rusa, on opowiadał takie straszne rzeczy o mamie i o tatusiu, a ja mu tak okropnie nagadałam!

- Nawet nie wiedziałam, że pan Howland ma syna. - Jerusa zmarszczyła brwi.

- Jakie to dziwne: będziesz macochą.

- To nie dziwne, to potworne! - wykrzyknęła Bethany. - On ma dwadzieścia osiem lat, jest nawet starszy od Jona. Żebyś widziała, jaki z niego pyszałek, nieprzyjemny modniś z Londynu! Już teraz mnie nienawidzi, i to tylko dlatego, że nazywam się Sparhawk.

- Jest przystojny?

- Przystojny? - Bethany zastanawiała się chwilę.

Spotkanie z Robinem Howlandem tak ją zemocjonowało, że zapomniała o swoim pierwszym wrażeniu. Miała sporo czasu, żeby mu się przyjrzeć, gdy była w salonie: stał koło schodów, jego kasztanowe włosy lśniły w świetle, na ramionach skrzyło się kilka płatków topniejącego śniegu. Niewątpliwie były w nim godność i spokój, które robiły wrażenie. Zanim otworzył usta, by szkalować jej rodziców, a ona odpowiedziała mu z gwałtownością, która nią wstrząsnęła chyba nawet bardziej niż jego słowa.

- Owszem - wycedziła przez zęby. - Ludzie zapewne uważają, że jest przystojny, ale to arogant i złośliwiec. Nie zamieniłabym jednego Williama na

setkę takich Robinów.

- W takim razie pewnie zasłużył na to, co usłyszał - powiedziała Jerusa, bezwiednie owijając kosmyk wokół palca. - A może William miał potem do ciebie pretensje?

- Nie, wcale. Kiedy wyszliśmy od niego, zapytał tylko, czy bardzo mi smutno. Poza tym prawie się nie odezwał. - Bethany nagle zamilkła i zaczerwieniła się po uszy.

- I co dalej, Anny-Beth? Co takiego zrobił twój ukochany William?

- Pocałował mnie - Bethany umierała już ze wstydu.

Dla Jerusy to zapewne nic wielkiego, biorąc pod uwagę jej opowieści o tym, na co pozwalała Tomowi Carberry'emu, ale jeśli chodziło o nią...

- Nie pierwszy raz i nie ostatni. - Jerusa uśmiechnęła się łobuzersko. - To prawda, że pan Howland jest już stary, ale myślę, że będzie cię dobrze traktował. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby ktoś tak się zadurzył jak on w tobie.

Bethany jednak nie było wcale do śmiechu.

- Jest coś, co bardzo mnie martwi - powiedziała. - Jak on może być tak miły dla mnie i tak okrutny wobec własnego syna? Pomyśl, jak mama wita w domu naszych braci, nawet jeżeli wyjechali tylko na kilka tygodni. Ten biedny Robin był poza domem całe dziesięć lat, a ojciec nawet nie powiedział mu, żeby zdjął płaszcz.

- A więc pogardzasz swoim pasierbem, bo jest bezczelny, ale jednocześnie żałujesz go - stwierdziła z ironią Jerusa. - Zachował się wobec ciebie okropnie, ponieważ ojciec nie przywitał go fanfarami, ty jednak czujesz, że należy go usprawiedliwić. On ma coś na swoją obronę, tymczasem ty, biedne dzieciątko, skrzywdziłaś go.

Nieszczęsna Bethany bez słowa obracała na palcu pierścioneł, który dostała od Williama. Jerusa zawsze umiała właściwie ocenić sytuację.

- Powinnam przeprosić Robina, prawda?

- Nie powinnaś, głupia gąsko. To on jest ci winien przeprosiny. Taka na

pewno jest też opinia Williama, a tobie nie wolno inaczej myśleć o tej sprawie.

- Ale przecież...

- Bethany, posłuchaj - Jerusa z poważną miną ujęła ją za rękę - jeżeli chcesz być dobrą żoną dla Williama, to nie możesz pozwolić, żeby cokolwiek, nawet jego syn, stanęło między nim a tobą. Zwłaszcza nie jego syn! Widzisz, że tak właśnie postępują tata i mama, tak też będzie ze mną i z Tomem. Musisz zapomnieć o tych wszystkich głupstwach dotyczących biednego Robina, bo jeśli nie, to tak się zapłaczesz, że już nie dasz sobie rady.

Bethany przytaknęła, pełna podziwu dla siostry. Jakże będzie jej brakowało tych nocnych rozmów, zwierzeń w wielkim łóżu, kiedy już zamieszka z Williamem...

- Jeszcze jedno: powinnaś się modlić, żeby Robin jak najszybciej wrócił do Londynu. Najbliższym statkiem, który stąd odpłynie.

- O, jaka ta jest piękna. Chyba najładniejsza. - William Howland podniósł do światła wielką wazę z chińskiej porcelany. - Mówisz, że przywiozłeś większą ilość? Nie wiem, do czego używają tych naczyń Chińczycy, ale myślę, że u nas wspaniale nadadzą się do ponczu. Założę się, że do świąt wszystkie sprzedamy.

- Tak właśnie myślałem. Oryginalne cacka zawsze dobrze się sprzedają.

Robin krzątał się po magazynie, przesuwając skrzynie z towarami, odbijał wieka i starał się nie myśleć, jak dziwaczna, wręcz nierzeczywista była ta rozmowa.

Pierwszego wieczoru miał nadzieję, że uda mu się przekreślić zły początek i zacząć wizytę jakby od nowa. Zdecydował się czekać na powrót ojca, rozmówić się z nim. Wyczerpanie długą podróżą i ciepło kominka w salonie okazały się jednak silniejsze od tych postanowień. Po nocy spędzonej w fotelu obudził się rano ze sztywnym karkiem i stwierdził, że zmarnował okazję.

Ku jego zaskoczeniu ojciec ani słowem nie wspomniał przy śniadaniu o tym, co zaszło. Szorstkim głosem zaproponował tylko, żeby wybrali się do magazynu i

obejrżeli towary, jakie Robin przywiózł z Londynu. Zgodził się bez wahania i po kilku minutach szli już w stronę pobliskiej Thames Street.

Ojciec mówił wyłącznie o interesach, tak samo zresztą jak w swoich listach. Robin, aczkolwiek niechętnie, dostosował się do narzuconego tonu rozmowy. Czuł się nieszczęśliwy i wytracony z równowagi. Atmosfera panująca w magazynie też nie dodała mu otuchy.

William ostrożnie odłożył porcelanową wazę i podszedł do nowo otwartej skrzyni. Zanurzył łokcie w wiórach, które chroniły przed stłuczeniem pochowane przedmioty. Kiedy zamiast nowego pudeńka wyjął tylko małą, drewnianą figurkę pasterki, z której rąk i nóg zwieszały się sznurki, na jego twarzy odmalowało się rozczarowanie.

- Co to za śmieć, Robinie? Jakaś zabawka dla dzieci?

- Raczej zabawka dla możnych państwa, kukielka. We Francji nazywają to: marionetka.

Wziął lalkę od ojca, rozwiązał sznurki i zaczął się nią bawić. Marionetka wykonała niezdarny ukłon.

- Są teraz bardzo modne w Londynie, w Vauxhall, Ranleigh, nawet na dworze.

William krytycznie patrzył na podrygi małej pasterki.

- Może i są modne w Londynie, ale wątpię, żeby przyjęły się tutaj. To za bardzo przypomina teatr, a w kolonii mamy prawa zakazujące takich błazeństw.

- Owszem, można czerpać prawo ze zmurszałych ksiąg, ale nie wierzę, żeby ludzie w Newport, którzy są na tyle światowi, że przed świętami kupują chińskie wazy, mogli doszukać się grzechu w marionetce.

- Światowi jak Sparhawkowie?

Robin wytrzymał spojrzenie ojca.

- Tak, jak Sparhawkowie.

- Uważasz, że nie powinienem się z nią żenić, prawda?

- Myślę, że nie powinieneś się spieszyć z wyborem żony.

- Nie spieszyć się, co ty powiesz.

William ciężko usiadł na krześle.

- To ja mógłbym dawać ci takie rady, nie ty mnie. Dlaczego tego nie robię, co? Wyglądasz jak przystojny młody dżentelmen. Powiedz, na pewno w Londynie wpadła ci w oko jakaś panna?

Robin pomyślał o pozbawionych wdzięku kupieckich córkach, które mizdrzyły się do niego, gdy w interesach odwiedzał ich ojców, o modystkach i aktoreczkach, z którymi romansował.

- Raczej nie. Nie dokonałem na razie wyboru.

- Nigdy nie kochałeś?

- Nie tak, jak piszą o tym poeci. - Robin zaczynał żałować, że dał się wciągnąć ojcu w tę rozmowę. - Kiedyś to chyba jednak nastąpi.

- To, co poeci wiedzą o miłości, nie jest warte funta kłaków. Same bzdury, po prostu sieczka. - William bezwiednie obciągnął rękaw koszuli. - Jeśli cię to interesuje, prawda jest taka, że kocham Bethany inaczej, niż kochałem twoją matkę. Ona była kimś wyjątkowym i nie mogę obdarzyć Bethany takim samym uczuciem, tak jak nie mogę mieć znów osiemnastu lat ani tańczyć do upadłego na Bannister's Wharf. Ale to słodkie stworzenie uczyni mnie szczęśliwym, a ja postaram się ofiarować jej wszystko, co najlepsze. Chyba nie chciałbyś mnie tego pozbawić?

Robin zaprzeczył niechętnie. Skoro ojciec tego sobie życzy, spróbuje zaakceptować w rodzinie pannę Sparhawk, chociaż nazwałby ją raczej jędzą o ostrym języku niż słodkim stworzeniem.

- Cóż, jeżeli dobrze rozumiem, nie będziesz próbował pokrzyżować moich planów i przeszkodzić w ślubie. Mówiłem ci już, że termin wyznaczaliśmy na Boże Narodzenie? Bethany bardzo zależało na tej dacie, bo tylko wtedy może być pewna, że jej bracia będą w domu. W Crescent Hill...

- Chwileczkę, ojczy, chcę coś powiedzieć.

Nie tak wyobrażał sobie Robin chwilę, w której przekaze swoją propozycję, ale cała ta wizyta przebiegała inaczej, niż planował.

- Chciałbym, żebyś wrócił ze mną do Anglii, ojciec. Mógłbyś powierzyć komuś biuro w Newport, a zająć się naszymi interesami w Londynie.

- Wrócił do Anglii? - Williamowi prawie odebrało mowę. - Przecież moja stopa nigdy tam nie powstała. Czyś ty oszalał?

- Oczywiście byłaby z tobą panna Sparhawk - dodał szybko Robin. - Wiem, że podróż jest męcząca dla dam, ale...

William machnął niecierpliwie ręką.

- Podróż jej nie zmęczy, bo się w nią nie wybierze, tak samo zresztą jak ja. Wcale nie potrzebujesz mojej pomocy w Londynie. A ja urodziłem się tutaj i mam zamiar tutaj umrzeć, nie gdzie indziej.

- Właśnie o to chodzi. Nie chcę, żebyś umierał, przynajmniej nie przez najbliższe sto lat, a zostając, ryzykujesz życie. Przecież tu się szykuje wojna domowa!

- Nie bądź śmieszny - powiedział ostrym tonem William. - Tutaj nie ma okrągłogłowych Cromwella, u nas ludzie są inni.

- Naprawdę? Londyński parlament mówi prawie wyłącznie o tym, że w koloniach rozpalone głowy stawiają żądania, na które żaden Anglik o zdrowych zmysłach nie może się zgodzić. Tu się nie szanuje królewskich gubernatorów i atakuje poborców podatkowych. Korona dłużej tego nie zniesie. Nie chcę, żebyś zostawał w Newport. W porcie już niedługo będą okręty wojenne!

- Nigdy do tego nie dojdzie. Nasłuchałeś się jakichś plotek.

- Nie dalej jak tego lata ktoś, kto pochodzi z Newport, złapał i podpalił królewski statek wiozący pieniądze z podatków. To nie jest plotka!

- Och, biedny kapitan Reid, został pozbawiony dowództwa. Może teraz ci wielcy panowie dwa razy pomyślą, zanim zaczną nami komenderować?

Szyderczy ton ojca zdziwił Robina. Nie chciał, żeby rozmowa zamieniła się w

kłótnię, i za wszelką cenę próbował załagodzić sytuację.

- Ojczy, proszę...

- Na Boga, chłopcze, co z tobą? Tak długo mieszkasz między nimi, że już bierzesz ich stronę? Nie po to tam pojechałeś. Pamiętaj: po pierwsze należysz do Newport, a dopiero potem do Anglii.

Robinowi chciało się krzyczeć. Odkąd pamiętał, stawiano mu przed oczami ideał angielskiego dżentelmena. To był wzór do naśladowania, do niego miał dążyć i kiedy wreszcie go osiągnął, okazywało się, że poszedł złą drogą. Nie należało go już nazywać człowiekiem z Newport. Był Anglikiem urodzonym w Newport. Właśnie dlatego ojciec powinien pojechać z nim do Londynu - miasta, w którym syn odniósł sukces i zaczął nowe życie.

Ojciec przyglądał mu się z niepokojem.

- Jesteś Howlandem i człowiekiem z Newport, czy tak?

Robin z trudem przełykał ślinę.

- Zawsze będę Howlandem i twoim synem - odparł w końcu.

- I tak być powinno. - Ojciec wyraźnie się odprężył. - A teraz, jak przypuszczam, chciałbyś spotkać się z Bethany i prosić o wybaczenie.

- Czy jeżeli przeproszę pannę Sparhawk - powiedział Robin, sięgając po kapelusz - weźmiesz pod uwagę wyjazd do Londynu?

William skierował na niego uważne spojrzenie, które nie było wolne od dumy.

- Owszem, zastanowię się nad tym. Tak, tak, z wierzchu wyglądasz na modnisią, ale pod spodem widzę czystej krwi Howlanda. Umiesz się targować.

Rozdział 4

Bethany z wahaniem wzięła do ręki pędzelek umaczany w czerwonej farbie. Nie była zadowolona ze swojej pracy - suknia matki na portrecie wydawała się jej stanowczo za ciemna. Trudno tak malować z pamięci, ale cóż - nie mogła poprosić modela o pozowanie, skoro akwarela miała być świątecznym prezentem.

- Panno Sparhawk?

Krzyknęła cicho, zaskoczona. Stał przed nią syn Williama.

- Nie chciałem pani przestraszyć. - Robin z ukłonem uchylił kapelusza. - Pani młodsza siostra - ma chyba na imię Rachel, prawda? - powiedziała, że znajdzie panią w ogrodzie.

- No i znalazł pan.

Bethany usiłowała zasłonić ręką obrazek. Nie znosiła, by ktoś oglądał jej prace, zanim sama uznała je za gotowe do pokazania, a już w najmniejszym stopniu nie miała ochoty dzielić swoich sekretów z Robinem.

- Zapomniałem już, jak szybko zmienia się tutaj pogoda. Wczoraj mieliśmy nawałnicę, a dzisiaj jest tak pięknie, że można wyjść do ogrodu. - Robin mówił ze swadą, jakby wcale nie zauważył braku powitania. - Ma tu pani świetne miejsce na swoje rozrywki, mur chroni panią od wiatru, to prawdziwe zacisze.

- To nie jest rozrywka, tylko malarstwo - odparła zaczepnie. - A może podziela pan zdanie mojego ojca, że to nieodpowiednie zajęcie dla kobiet?

Zmarszczył brwi z zakłopotaniem, dokładnie tak samo jak jego ojciec, gdy czuł się niezręcznie. Byli do siebie bardzo podobni, tyle że Robin nie miał siwych włosów ani zmarszczek Williama.

- Gdyby pozwoliła mi pani spojrzeć - gość wychylił się do przodu, by obejrzeć drugi karton, który suszył się na stole i którego Bethany nie zdołała zakryć - mógłbym wyrazić swoją opinię.

Bethany wahała się, niepewna, czy zgoda nie narazi jej na nowe przykrości.

- Przrzekam, że będę oceniał tylko dzieło, a nie malarza.

Uśmiechnął się, a Bethany przypomniała sobie pytanie Jerusy. Trudno było odmówić Robinowi urody, a uśmiech miał wręcz ujmujący. Poczula, że się czerwieni.

- Proszę, panno Sparhawk.

- No już dobrze, proszę.

Nie odsłoniła jednak portretu matki, tylko sięgnęła po suchy już prawie karton. Była to mapa południowych kolonii, przeznaczona na świąteczny prezent dla ojca - gotowy druk, pierwotnie czarno-biały, pokrywały teraz dobrane z wyczuciem kolory.

Robin ujął mapę za brzegi i uniósł do słońca. Ta ostrożność spodobała się Bethany.

- Starannie wykonane - stwierdził. - Farba równo położona, kontury dokładne. Bardzo dobra praca.

- Ojciec powie to samo.

Spojrzał na nią przeciągle.

- A może powie coś jeszcze? Że na przykład staranność jest godna pochwały, ale nie jest oryginalnością?

- Ojciec nie spodziewa się po mnie oryginalności. Eleganckie panie kolorują druki, więc taki druk sprawi mu przyjemność na Gwiazdkę.

- Czy to też są prezenty? - Robin wskazał na obrazki w otwartej teczce malarskiej, która leżała z boku.

Bethany przytaknęła.

- Tak, dla moich braci, Josha, Nicka i Jona. Każdy jest kapitanem, więc pomyślałam, że przyjemnie im będzie mieć swoje statki na obrazku.

Widoczna dbałość o szczegół zdumiała Robina. Jak takiej grzecznej panience udało się oddać naturę czegoś tak męskiego jak statek?

- Są całkiem niezłe - zapewnił ją i pomyślał, że jest bardzo ładna, kiedy się

czerwieni. - Ale ten statek przecież nie należy do pani rodziny. Jeżeli się nie mylę, to jest „Macedończyk” Howlanda i Syna.

- Ten jest dla Williama - wyjaśniła. - Skromny prezent, ale mam nadzieję, że mu się spodoba.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Robin nie wypuszczał akwareli z ręki. Czy ktoś mógłby się nie cieszyć z takiego podarku? Przeżył już tyle świąt Bożego Narodzenia, ale nikt nie zastanawiał się, czym mu sprawić przyjemność, nikt z takim przejęciem i miłością nie obmyślał prezentów dla niego.

- Oby się pan nie mylił - westchnęła Bethany, nieświadoma, co się z nim dzieje. - Chętnie zrobiłabym coś bardziej przydatnego czy eleganckiego, na przykład koszulę czy haftowaną kamizelkę, ale marna ze mnie szwaczka. Za to moja siostra Rachel jest prawdziwą mistrzynią. Ależ ona potrafi śmigać igłą! Ja mam przy niej dwie lewe ręce.

Roześmiała się pierwszy raz w czasie tej rozmowy. Miała na głowie kapelusz z szerokim rondem, zawiązany pod brodą zieloną aksamitką. Białe promienie zimowego słońca zaglądały pod kapelusz i delikatnie rozświetlały jej twarz. Siedziała wyprostowana na krześle, a fałdy grubej, zimowej spódnicy malowniczo układały się wokół kostek. Granatowa materia odcinała się ciemną plamą od pożółkłej listopadowej trawy. Na szyi Bethany miała skromniutki naszyjnik z drobnych koralików, jaki często noszą małe dziewczynki.

Może to te koraliki, odpowiednie raczej dla nowo ochrzczonego dziecka niż dla panny na wydaniu, sprawiły, że wydała się Robinowi młodsza niż poprzedniego wieczora. Była tak ożywiona, uśmiechnięta, że zrozumiał nagle, co urzekło jego ojca w tej dziewczynie.

- A więc mapy i statki w prezencie dla panów - powiedział dla podtrzymania rozmowy - ale co dostaną panie?

- Dla Rachel i Jerusy pokoloruję francuskie plansze z wykrojami sukien.

Wiem, że mapy są ciekawsze, ale to się im spodoba.

Bethany urwała przestraszona, że męczy go swoją paplaniną. Ciągłe nie wiedziała, czy pokazać mu portret matki. Nie był, co prawda, skończony, ale czuła, że to najlepsza spośród akwarel. A Robin wydawał się naprawdę zainteresowany jej pracami.

Wstydliwie odsunęła ramię, które zasłaniało tajemniczy obrazek, i podała mu go.

- To dla mamy, jak się pan zapewne domyśla. Chciałam pokazać ją tu, w ogrodzie, wśród kwitnących róż, żeby w środku zimy przypomniało się jej lato.

Kiedy zobaczyła, jak zmarszczył brwi, natychmiast pożałowała swojego kroku. Spodobały mu się statki, no i dobrze, ale trzeba było na tym poprzestać.

- Oczywiście muszę jeszcze poprawić całą postać - rzuciła pospiesznie. - Czerwień sukni też jest nieodpowiednia.

- Nie, nieprawda - zaprzeczył ze spokojem. - Wszystko jest doskonałe.

- Nie musi pan mnie oszczędzać. - Bethany najchętniej wyrwałaby mu karton z ręki. - Znam prawdę.

- Prawda jest taka, że bardzo dobrze pani maluje. A ja wcale nie kłamię.

Nie musiał kłamać. Bethany brakowało techniki, ale w jej dziełku były spojrzenie i emocja zdradzające prawdziwy talent. Umiała doskonale uchwycić charakter postaci i ulotne piękno letniego popołudnia. Robin oglądał w Londynie niejeden obraz mistrzów z Akademii Królewskiej i wiedział, że ta panna nie ma się czego wstydzić.

- Jak nauczyła się pani malować?

- Chyba tak jak wszyscy. Najpierw kolorowałam druki, ale to mnie nudziło, chciałam malować prawdziwe rzeczy. Więc zaczęłam to robić. - Bethany wzruszyła lekko ramionami. - Lub raczej próbuję to robić.

- Zatem żadnych lekcji?

- Lekcji? O, nie, tatuś nigdy nie zgodziłby się na coś takiego - uśmiechnęła się

smutno. - Jest tutaj pewien młody człowiek z Kingston, który pięknie maluje, nazywa się Gilbert Stuart. Podobno udziela lekcji, ale nie kobietom, a już na pewno nie przyjąłby córki kapitana Sparhawk.

W głowie Robina zaświtała pewna myśl. Jego ojciec mógł być głuchy na namowy syna, ale gdyby tak młoda narzeczona zaczęła nalegać na wyjazd do Londynu...

- Pan Stuart jest nędznym malarzyną w porównaniu z angielskimi mistrzami! - wykrzyknął z przejęciem. - Reynolds, Gainsborough, Romney, to dopiero są nazwiska! I każdy z nich ma pracownię, do której przychodzą możni państwo, nawet utytułowane damy.

- Powiedział pan Reynolds? - Bethany aż klasnęła w dłonie. - William, to znaczy pański ojciec, ma książkę z reprodukcjami jego portretów i daje słowo, że są tysiąc razy piękniejsze niż wszystkie obrazy, jakie widziałam w Newport!

Robin kiwnął głową ze zrozumieniem. Świetnie znał tę książkę, bo sam ją wysłał ojcu. Teraz wiedział przynajmniej, że ktoś do niej zajrzał.

- Londyn na pewno by się pani spodobał. Mogłaby pani codziennie chodzić do nowych pracowni, galerii, muzeów, a i tak żaden obraz by się nie powtórzył.

- A więc w Londynie nawet prawdziwe damy biorą lekcje malarstwa? - rozmarzyła się Bethany. - Niech mi pan powie, jak najchętniej malują? Olejami, akwarelą czy może wolą pastele?

- Niestety trudno mi powiedzieć - przyznał Robin z zakłopotaniem. - Wszystkie panie, które znam, trzymają się raczej z daleka od pędzla.

- Ach, tak. - Nic nie mogło bardziej rozczarować Bethany niż jego krótkie stwierdzenie. - W takim razie Londyn nie różni się tak bardzo od Newport.

Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, wstała, włożyła suchy już portret matki do teczki, po czym pospiesznie zajęła się porządkowaniem swoich przyborów malarskich.

- Proszę nie myśleć, że przywiązuję do tego jakąś wagę. - Bethany usiłowała

zdobyć się na lekceważenie. - Ponieważ jestem kobietą, nigdy nie będę mogła wsiąść na statek i podróżować jak moi bracia. Prawdopodobnie do końca życia nie wystawię stąd nosa, więc po co tu mówić o Londynie. William okazuje dużo pobłażania, jeśli chodzi o moje gryzmoły. Powinnam być mu za to wdzięczna i nie wzdychać do rzeczy, których nie mogę mieć.

Zbierała się do odejścia. Słoiczki z farbami były już równo ułożone w drewnianym pudełku i Robin czuł, że traci ostatnią szansę.

- Panno Sparhawk! - zawołał bezradnie. - Panno Sparhawk, proszę jeszcze o chwilę uwagi.

- Słucham. - Bethany uderzył nie znany ton w jego głosie.

- Parę słów, to wszystko, na czym mi zależy.

- Parę słów, to wszystko - powtórzyła, wylewając na trawę niebieską wodę z dzbanka. - Od piętnastu minut wymieniamy tu setki słów, więc czego pan jeszcze chce?

Robin sarknął ze zniecierpliwieniem. Gdzie się podziała ich miła rozmowa?

- Chodzi o mojego ojca.

Bethany, która suszyła ostatni pędzel, nagle znieruchomiała.

- Widzę, że cała ta gadanina o Londynie i panu Reynoldsie to był tylko pretekst. Malarstwo wcale pana nie obchodzi.

- Ja tylko...

- Wystarczy! - wykrzyknęła. - Wiem, co chce pan powiedzieć, co chciał pan powiedzieć od chwili swego wtargnięcia tutaj: że moje przywiązanie do pańskiego ojca jest w najwyższym stopniu niestosowne. Już to słyszałam wczoraj. Uważa mnie pan za małą parweniuszkę, absolutnie niegodną pańskiego ojca i pana wspa- niałej rodziny, która - niech pan dobrze słucha, bo powiem parę słów prawdy - nie jest ani trochę lepsza od mojej!

Wszystko przebiegło tak jak poprzedniego wieczoru. Ucięła mu w pół słowa, potępiła nie wysłuchawszy, nie zostawiła prawa do obrony, a przecież przyszedł,

żeby przeprosić i pogodzić się z nią - dla ojca.

- Przysięgam na wszystko co święte, panno Sparhawk, że nigdy... - próbował jeszcze ratować sytuację.

- Nie, już dosyć. Proszę, żeby odtąd odzywał się pan do mnie tylko w obecności ojca.

Z trzaskiem zamknęła pudełko z farbami i porwała je ze stołu.

- Mam zamiar zaszczyścić Williama, oddając mu swoją rękę, i nie wpłynie pan na moją decyzję. Życzę miłego dnia, panie Howland. Skoro sam pan tutaj trafił, znajdzie pan zapewne drogę do wyjścia.

Nie oglądając się już na niego, skierowała się w stronę domu. Mimo całego ekwipunku, który taszczyła pod pachą, kroczyła godnie, wręcz majestatycznie, i tylko jej targana wiatrem spódnica furkotała wściekle, jakby na potwierdzenie jej złości.

Robin nie mógł zrozumieć, co się stało. W jaki sposób tej bezczelnej pannicy udało się zniweczyć jego najlepsze zamiary i tak odwrócić sytuację, że nic nie robiąc, znowu ją obraził? Teraz już było jasne, że nie zdoła powstrzymać ślubu. W jednym tylko miała rację: rzeczywiście myślał, że jest z niej mała parweniuszka.

Rozdział 5

- Więc to jest twój przyszły pasierb, Anny-Beth - szepnęła Jerusa, zasłaniając usta wachlarzem. - Gratulacje. Bardzo przystojny dżentelmen.

- Jeszcze się przekonasz, co to za arogant i pyszałek. Nadyma się jak indor na podwórku. Zupełnie nie nadaje się do towarzystwa - mruknęła Bethany.

Nerwowo okręcając wokół palca jedwabny sznurek swojego wachlarza, przyglądała się z daleka, jak William przedstawia Robina jej ojcu i dwóm spośród braci, którzy właśnie przybyli do domu.

Ta kolacja była pomysłem matki - uważała, że grzeczność nakazuje jej zaprosić syna pana Howlanda, poza tym chciała, by obie rodziny lepiej się poznały.

Bethany z niechęcią myślała o tym, że zaraz zasiądzie z Robinem przy stole. Dwa dni temu nierozważnie odsłoniła się przed nim, chłonąc łapczywie jego fałszywe komplementy na temat swojego malarstwa. Z sytuacji wyszła na szczęście z honorem, ale niespieszno jej było do następnego spotkania.

Robin ścisnął ręce jej braci, rozprawiał o czymś ze swobodą. Nie był tak wysoki jak Jonathan ani Joshua, ale musiała przyznać mimo woli, że świetnie się prezentuje. Tyle że w tej elegancji było coś bardzo nieprzyjemnego dla niej.

- No wiesz, indor, który nie nadaje się do towarzystwa - zaśmiała się Jerusa i zatrzepotała wachlarzem.

Nawet na tę rodzinną kolację włożyła strojną suknię i misternie upięła kruczoczarne włosy, w których pobłyskiwały brylantowe spinki.

Bethany spojrzała z wyrzutem na siostrę.

- Naprawdę, Rusa, zaraz sama zobaczysz - powiedziała, dotykając bezwiednie swojego skromnego naszyjnika z koralami.

- Na razie widzę tylko, że jesteś niezwykle urażona. Jeszcze nigdy tak źle nie mówiłaś o żadnym mężczyźnie. Może problem polega na tym, że on wcale nie wydaje ci się taki okropny? - zachichotała Jerusa. - Gdzie się podziało współczucie

dla tego biedaka?

- Przecież sama mi powiedziałaś, żebym go nie żałowała! - zachnęła się Bethany.

- Ale wtedy nie wiedziałam, jaki to wytworny młody człowiek. Masz szczęście, że będziesz z nim mieszkała pod jednym dachem.

- Jerusa! - Bethany była już naprawdę zgorzozona. - Gdyby William to słyszał...

- Gdyby co słyszał? - rozległ się koło nich głos Williama.

Bethany zaczerwieniła się po uszy, szukając gorączkowo jakiegoś wyjaśnienia, natomiast siostra powitała jej narzeczonego szerokim uśmiechem.

- Właśnie gratulowałam Bethany, że będzie miała w rodzinie tak eleganckich mężczyzn, lecz nie chciała, bym powtórzyła panu ten komplement. Ale co widzę - przyszedł wreszcie mój ukochany Tom Carberry, muszę iść do niego.

Zerwała się z kanapy, zostawiając Bethany i Williama samych. Przez chwilę w milczeniu obserwowali Jerusę, która czule - zbyt czule nawet - witała się z Tomem. Bethany z niepokojem zastanawiała się, czy William nie usłyszał mimo wszystko słów Jerusy.

- Wiem, że to twoja siostra, ale jeżeli mam być szczery, czuję się odrobinę nieswojo w jej towarzystwie - odezwał się wreszcie.

Bethany odetchnęła z ulgą. A więc jednak nie usłyszał.

- Nigdy nie wiem, co przyjdzie jej do głowy, a ponieważ jest taka śliczna i tatuś kocha ją najbardziej, wszystkie głupstwa uchodzą jej na sucho.

- Niech się za Jerusą ugania nawet całe stado trzpiotowatych galantów. Ja i tak mam najlepszą i najmądrzejszą ze wszystkich córek pana Sparhawk.

- Och, Williamie. Czym sobie na to zasłużyłam? - szepnęła Bethany.

- Tym, że jesteś sobą, moja słodka - powiedział poważnie, po czym wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął z niej małe zawiniątko. - Zobaczyłem to i od razu pomyślałem o tobie. Możesz to nazwać przedświątecznym upominkiem.

Bethany ostrożnie odwinęła wytłaczany jedwab, który spowijał ukryty drobiazg. Była to wspaniałej roboty lilia z jasnego, prawie przezroczystego nefrytu.

- Jaka piękna. - Bethany oniemiała z zachwytu. - Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

- I chyba nie zobaczysz innego egzemplarza, zważywszy, że ten drobiazg prosto z Chin trafił do Londynu, a stamtąd przywiózł go Robin. Proponuję, żebyś teraz nosiła tę lilię razem ze swoimi koralami, a potem sprawimy ci prawdziwy złoty łańcuch. Zdążymy to zrobić po ślubie.

Bethany posłusznie schyliła głowę, by William mógł rozpiąć jej korale i dołączyć do nich piękny wisiołek. Dziwnie się poczuła, czując jego twarz tak blisko swojej, tym bardziej że rodzice mogli ich widzieć, lecz nakazała sobie spokój. Nieraz obserwowała, jak ojciec pomaga matce zapiąć naszyjnik. Wkrótce takie gesty między nią a Williamem staną się czymś zupełnie normalnym.

Odsunął się kilka kroków, by lepiej ocenić efekt.

- Wiedziałem, że będzie do ciebie pasował! Mój syn ma wiele wad, ale przynajmniej zna się na biżuterii - powiedział z zadowoleniem.

- To był wybór Robina? - Bethany wzięła do ręki wisior, który trochę ciążył jej na szyi.

- Tak, chociaż nie zrobił tego z myślą o tobie, bo przecież nie wiedział, że istniejesz - wyjaśnił William, po czym dodał zaniepokojony: - Czy on w ogóle przyszedł cię przeprosić?

Bethany zawahała się. Jeżeli przyzna się do kolejnej kłótni z Robinem, jego stosunki z ojcem jeszcze się pogorszą, a tego nie chciała.

- Tak, na drugi dzień po przyjeździe - powiedziała ostrożnie.

- Nie musisz mówić nic więcej, Bethany. Widzę, że próbujesz chronić łobuza, ale dopilnuję, by naprawił to, co zepsuł - rozżłościł się William.

- Panie Howland - matka Bethany pojawiła się nagle przy nich - zechce pan przejść ze swoją narzeczoną do stołu? Nie proszę, żeby dotrzymywał pan teraz

towarzystwa innym damom, ale uprzedzam - po Bożym Narodzeniu będę panu od czasu do czasu wykradała swoją córkę.

Do kolacji nakryto w wielkim holu na dole, ponieważ jadalnia okazała się za ciasna dla szesnastu osób, które spotkały się tego wieczoru w domu kapitana Sparhawk. Jego żona dopilnowała wszystkiego: wyciągnięto serwis przeznaczony na specjalne okazje, wypolerowano srebra, w świecznikach jarzyły się woskowe świece. Boże Narodzenie było tak blisko, że zdecydowała się nawet na świąteczną dekorację i zawiesiła girlandy z pachnącej sosny przeplatane gałązkami pomarańczy.

Siadając między Williamem a swoim bratem Jonem, Bethany rozchmurzyła się. Rodzina była w komplecie, łącznie z babką oraz najmłodszym przedstawicielem rodu, dwuletnim bratankiem Bethany, Jeremiahem. Na szczęście dla Robina przeznaczono miejsce na drugim końcu stołu.

William dyskretnie uściskał ją za rękę. Odpowiedziała mu promiennym uśmiechem. Pomyślała, że wątpliwości i zmartwienia najlepiej odłożyć do jutra. Nie ciekawiła jej zbytnio rozmowa, jaka toczyła się koło niej. Handel, polityka, statki, przewozy, rynki zbytu - w domu ojca to były stałe tematy. Nadstawiła ucha, dopiero gdy głos Robina stał się wyraźniejszy od innych.

- Mówię, że ci, którzy podpisali umowę zakazującą importu, to po prostu zdrajcy. Mają szczęście, że mimo ich bezczelności gniew Korony nie skupił się na tym mieście.

Wszyscy nagle umilkli. Bethany usłyszała, jak William zaklął pod nosem.

Robin siedział wyprostowany, z dłońmi mocno opartymi o stół i patrzył wyzywająco na obecnych mężczyzn. W przedłużającej się ciszy wziął do ręki kieliszek i powiedział:

- Można by sądzić, panowie, że reprezentuję tutaj mniejszość, co nie jest przyjemne. Czyżby tylko Howlandowie mieli pić tego wieczoru za zdrowie króla?

Konsternacja trwała. W końcu Gabriel Sparhawk przemówił z wyraźną

przykrością:

- W moim domu, sir, może pan pić za kogo się panu podoba. Chyba jednak pan zapomniał, że pański ojciec również podpisał umowę w imieniu Howlanda i Syna.

Robin skierował na Williama piorunujące spojrzenie.

- To prawda, ojczy?

- Zważywszy na twoje przekonania, nie była to rzecz, o której mogłem ci donieść w liście - odparł William z niezmaconym spokojem. - Od kiedy zaś tu przyjechałeś, nie dałeś mi na to czasu. Usta ci się nie zamykały, tak się użalałeś nad biednym, pokrzywdzonym królem.

Robin złożył równo swoją serwetkę, podniósł się sztywno i podszedł do matki Bethany.

- Proszę wybaczyć, *madame*, że nadużyłem pani gościnności - powiedział, kłaniając się nisko. - Zostawiam państwa, sprawilem dziś już dosyć kłopotów. Kapitanie Sparhawk, jestem do usług.

Biesiadnicy ze zdwojoną gorliwością zajęli się jedzeniem i rozmową, jakby chcieli zagłuszyć kroki Robina, który skierował się do tylnego wyjścia.

Bethany chwyciła Williama za ramię.

- Musisz za nim iść, nie możesz go tak zostawić.

- Nie pójdę, Bethany. Dlaczego miałbym to zrobić - uparty głupiec ciągle obraża twoją rodzinę i zawstydzasz mnie.

- Dlatego że ty zawstydzasz jego!

- Zachowywał się jak udzielny książę, zepsuł cały wieczór twojej matce!

- Williamie, ty chyba sam siebie nie słyszysz! - Bethany złowiła karcące spojrzenie swej babki i zmusiła się do szeptu. - Myślisz, że Robin jest pierwszym torysem, który zasiadł przy tym stole? Nawet gdyby sam miał na głowie koronę, ojciec odnosiłby się do niego grzecznie, a ty najwyraźniej nie jesteś do tego zdolny!

- Och, Bethany, nie krzycz na mnie - jęknął William. - Wyobrażasz sobie, że

cieszy mnie taki obrót sprawy?

- To dlaczego za nim nie pójdziesz?

- Nie mogę - powiedział niechętnie, obracając w palcach widelec. - Lepiej niech sam ochłonie w ogrodzie, beze mnie.

- Rzeczywiście lepiej. - Bethany odsunęła z hałasem krzesło, nie zwracając uwagi na biesiadników. - Przynajmniej teraz wiem, skąd u niego ten upór.

Pobiegła w stronę tylnych drzwi. Przez chwilę stała na progu, nic nie widząc, zanim jej wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Trzęsła się z zimna, bo na nagich ramionach nie miała nawet szala.

Źle postąpiła, strofując publicznie Williama. Był taki smutny - patrzył na nią jak zbity psiak! Co ją napadło, żeby tak się zachować? Tymczasem Robin chyba już sobie poszedł.

- Przyszła pani przewietrzyć się do ogrodu? - usłyszała nagle jego głos. Stał blisko, na wpół ukryty za drzewem. - A może ojciec przysłał panią, żeby mnie połączyć?

- Ani jedno, ani drugie. Chciałam prosić, żeby pan wrócił. - Bethany podeszła do niego. Pokryta szronem trawa zaskrzypiała pod jej stopami.

- Czy wie pani, że przyjechałem do Newport specjalnie po to, by się z nim pogodzić?

- Myślę, że to ciągle jest możliwe.

- Przyjechałem, bo martwię się o niego. Czy powiedział to pani? Wiem, że wkrótce zostaną tu wysłane wojska, tak jak do Bostonu. Chciałem go zabrać ze sobą do Londynu, póki jeszcze jest czas. A dziś wieczorem dowiaduję się, że po uszy siedzi w tym, co się tu dzieje, i nawet nie raczył sam mi o tym powiedzieć!

- O mój Boże - Bethany poczuła, że krew odpływa jej od serca - a więc stąd te opowieści o londyńskich malarzach. Nie dlatego, żeby mnie rozłączyć z pańskim ojcem, tylko dlatego, żebym chciała z nim wyjechać.

- W istocie, taką miałem intencję.

- Ale to by przecież znaczyło, że akceptuje pan nasze małżeństwo. Czyżby pan zapomniał, że nazywam się Sparhawk?

Robin z zakłopotaniem przeciągnął ręką po włosach.

- To nie ma znaczenia. Mogłaby pani być rudym małpiszonem, też bym nie miał nic przeciwko temu. Ważne, żeby on był szczęśliwy.

- Widzę, że rzeczywiście troszczy się panu o niego - powiedziała miękko Bethany. - Inaczej nie byłby pan tak dotknięty tym, co się stało.

Robin nie patrzył na nią, tylko na stojący za jej plecami dom. Prawie wszystkie okna rozświetlał blask świec, jakby na potwierdzenie tego, że tam, w środku, jest ciepło i przytulnie.

- Nie mówmy już o nazwiskach. Zobaczyłem panią w otoczeniu bliskich i wiem teraz, że trudno byłoby pani ich opuścić. Sam mam tak małą rodzinę, że czasami nie doceniam siły, jaką może wywierać dom podobny do tego. Rozumiem, że tu człowiekowi jest po prostu dobrze, i tyle.

Bethany zadumała się. Jak to jest - nie mieć matki ani braci, ani sióstr? Patrzyła na niego, nie umiejąc znaleźć słów pocieszenia, i nagle zdała sobie sprawę, że Jerusa miała rację - Robin był naprawdę przystojny.

Zadrżała i nie wiedziała już, czy to z zimna, czy pod wpływem jego spojrzenia, które też wydało się jej inne niż przedtem, czy przestraszyła ją myśl, że tak długo stoi sama z młodym mężczyzną.

- Cieszę się, że założyła pani lilię - odezwał się cicho. - Pasuje do pani.

Podniosła rękę do piersi, jakby chciała się przekonać, czy klejnot jest ciągle na swoim miejscu. To dało jej okazję do zasłonięcia wachlarzem dekoltu, którego nagle, nie wiedzieć czemu, zawstydziała się.

- William jest bardzo hojny. Powiedział, że to taki wczesny upominek gwiazdkowy.

Było zbyt ciemno, by zyskać pewność, ale Robin poszedłby o zakład, że się zaczerwieniła. Lilia naprawdę pięknie wyglądała na jej szyi. Przedtem oglądał

Bethany tylko w grubych zimowych ubraniach i dopiero ta wydekoltowana suknia pokazała mu, jak wspaniale jest zbudowana. Pomyślał, że jego ojciec ma sporo szczęścia i należałoby mu tylko życzyć, by nie okazał się za stary na korzystanie z niego.

- Chińczycy wierzą, że nefryt zapewnia długie życie i pomyślność. - Robin silił się na obojętny ton. W końcu ta dziewczyna zostanie wkrótce jego macochą i powinien o tym pamiętać. - Ten drobiazg to prawdziwy skarb. Miałem go przy sobie przez całą drogę.

Bethany pomyślała, że drogocenny prezent zawdzięcza raczej Robinowi niż Williamowi, i poczuła się nieswojo.

- Czy wróci pan teraz ze mną do domu? - zapytała, wyciągając w jego stronę nagie ramię.

- Co za egoista ze mnie! Pani musiała już zmarznąć - zawołał i zanim zdążyła zaprotestować, okrył ją swoim płaszczem. - Stoję tu ciepło ubrany, podczas gdy pani dygocze. Mnie przecież, jak powiedziałby ojciec, grzeje własna złość.

Bethany uśmiechnęła się niepewnie. Płaszcz Robina promieniał jeszcze ciepłem jego ciała i mimo woli uległa wrażeniu, że to on sam ją objął.

- Chodźmy do reszty, może dostaniemy jeszcze coś do zjedzenia. Pańska złość na pewno już ochłodziła.

- Co z ojcem? - zapytał.

- Z pewnością nie jest tak źle nastawiony, jak pan mówi. - Bethany przypomniała sobie skruszony wyraz twarzy Williama. - Naprawdę.

- W takim razie to pani go obłaskawiła.

Im więcej czasu z nią spędzał, tym bardziej zdawał sobie sprawę, jak wielki wpływ istota taka jak ona może mieć na mężczyznę. Elokwentna i nieśmiała zarazem, była doprawdy przedziwną mieszanką.

- Po ślubie pewnie mogłaby pani nakłonić go do wyjazdu. Wtedy wspólnie odbylibyśmy podróż.

- Ale dlaczego mielibyśmy wyjeżdżać? Umowa, protesty, zakaz importu, wszystko to dotyczy handlu i przecież niczym nam nie zagraża. Mój ojciec, tak zresztą jak i William, jest spokojny.

- Bo słyszy tylko to, co chce słyszeć. Parlament całkiem inaczej ocenia te sprawy.

Zaniepokojona, nie odpowiedziała na jego słowa. William nie opowiadał jej o wszystkich swoich zajęciach. Może rzeczywiście coś mu groziło?

Robin poprawił płaszcz na jej ramionach. Nie miał zamiaru jej straszyć, chciał tylko przekonać. By zatrzeć złe wrażenie, zawołał:

- Już ja dopilnuję, żeby się dobrze pani czuła w Londynie!

W tej obietnicy, tak jak i w jego goście, było coś takiego, że Bethany zeszywniała.

- Jest pan bardzo uprzejmy, panie Howland, ale...

- Robin - powiedział, podnosząc do góry rękę, która w przelocie musnęła jej policzek. - Dostyc już tego pana Howlanda. Jesteśmy prawie rodziną, choć nie mogę przyrzec, że będę mówił do pani „mamo”.

Potrząsnęła głową i odsunęła się od niego, a wtedy zorientowała się, że jest pilnie obserwowana.

Robin patrzył na nią z wyrazem smutku i zarazem rozbawienia.

- Jak sobie pani życzy, panno Sparhawk. *Madame*, jeśli jednak mogłaby pani poprosić ojca...

- Nie, proszę się do mnie o to nie zwracać! - wykrzyknęła. - Znam Williama i wiem, że nikt i nic nie zmusi go do opuszczenia Newport. Ani pan, ani ja, ani nawet wojsko na progu jego domu.

- Gdyby jednak pani...

- Żadnych „gdyby”, Robinie. - Nieświadomie zwróciła się do niego po imieniu. - Nie mogę mieszać się do waszych spraw. Nawet gdybym miała rację. Nie i koniec.

Odwróciła się i pobięła do domu.

Rozdział 6

Chociaż przy stole nikt nie przerwał rozmowy, kiedy próbowała bezszelestnie wślizgnąć się na swoje miejsce, Bethany miała przykrą świadomość, że wszyscy na nią patrzą - ojciec surowo, matka niespokojnie, Jerusa porozumiewawczo, Jon z niedowierzaniem. Tylko wyraz twarzy Williama pozostał dla niej zagadką.

- Chłopak przynajmniej nauczył się trochę manier, skoro zadbał, żebyś nie zmarzła - powiedział, podsuwając jej krzesło.

Bethany dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że wciąż ma na ramionach płaszcz Robina. Nic dziwnego, że wszyscy ją obserwowali!

- Nie chodzi o maniery, ojcze. - Robin wyrósł jak spod ziemi. - Wysłałeś pannę Sparhawk w misji dyplomatycznej i nie chciałem, żeby się przeziębiła.

Sytuacja znowu była bliska wybuchu, zanim jednak William zdążył otworzyć usta, głos zabrała matka Bethany.

- Pański ojciec właśnie nam opowiadał, jakie to ciekawe rzeczy przywiózł pan ze sobą. Podobno jest wśród nich cały zestaw kukiełek. Czyżby z Neapolu?

- Tak, pani.

Nie patrząc na ojca, Robin podszedł do Bethany po swój płaszcz, przy czym uśmiechnął się do niej w taki sposób, że oblała się rumieńcem. Zawstydzona, spuściła szybko głowę i utkwiała wzrok w obrus, przez co jej zmieszanie stało się jeszcze bardziej widoczne.

- A więc ma pan neapolitańskie kukiełki? - Mariah nie dawała za wygraną.

- Tak, pani Sparhawk. Jestem pewien, że nigdy tu pani takich nie widziała - powiedział szybko Robin. - Mają złączone ręce i nogi, a kiedy pociąga się za sznurki, ruszają się całkiem jak żywe. W tym sezonie Londyn za nimi przepada.

- To brzmi ciekawie - zauważyła Mariah z ożywieniem, zadowolona, że udało

się jej zażegnać niebezpieczeństwo. - Czy przyjechał z panem ktoś, kto umie się z nimi obchodzić, jakiś aktor czy zaklinacz, nie wiem, jak to nazwać?

- Nie, ale nie jest to konieczne. - Robin z trudem powstrzymywał się, by nie spojrzeć znowu na Bethany. Co się z nim dzieje dziś wieczór? - Wystarczy trochę praktyki i każdy może się nimi bawić.

William chrząknął głośno.

- Jeżeli to takie łatwe, pokaż nam te lalki.

- Świetna myśl! - podchwyciła Mariah. - Może w Wigilię, co pan na to?

- Będzie mi bardzo miło - odparł Robin. - Nie chciałbym tylko rozczarować państwa swoimi skromnymi umiejętnościami.

- Nie ma o tym mowy - zapewniła gromko gospodyni. - Poza tym przecież ktoś z nas może panu pomóc!

Przy stole rozległ się cichy śmiech. Bethany nie musiała podnosić głowy, by wiedzieć, że to jej braci tak rozbawił pomysł uczestniczenia w przedstawieniu kukielkowym. To zajęcie dobre dla fircyka z Londynu, nie dla marynarza!

- Bethany ci pomoże. - William położył dłoń na jej ręce. - Jest bardzo zręczna, pięknie maluje, więc na pewno poradzi też sobie z lalkami.

Bethany pomyślała o swoim postanowieniu, żeby nigdy nie spotykać się sam na sam z Robinem, a teraz William proponował coś takiego.

- Och, Williamie - zaprotestowała nieśmiało - przecież to będzie w przeddzień ślubu! Pomyśl, ile czeka mnie zajęć.

- Nic podobnego - wtrąciła Marian. - To nie ty będziesz się zajmować weselem, a jeżeli William chce, żebyś zajęła się tą zabawą, nie odmawiaj mu tej przyjemności.

- Słyszysz, twoja matka już wszystkim pokieruje. - William z pobłażaniem poklepał Bethany po ręce. - A tobie na pewno spodobają się kukielki. Możesz nawet namalować jakieś dekoracje.

- Nie mogę - powiedziała Bethany z desperacją. - Jestem pewna, że Robin

wolałby pracować sam, żeby to była niespodzianka.

- Daj spokój, moja miła. Niechże chłopak raz zrobi to, o co go proszę. Przy okazji przekona się, jak wspaniałą młodą damę mam zamiar poślubić.

Bethany nie miała już wyboru i z przymusem kiwnęła głową, że się zgadza.

- Rusa?

- Nie śpię, możesz mówić.

- Co oni o mnie mówili, kiedy pobiegłam za synem Williama? - Głos Bethany zabrzmiał tak niepewnie i płaczliwie, że sama się go zawstydziła.

- Nic, zupełnie nic, naprawdę. Tylko tato spojrzał na mamę, Jon na Betsy, Rachel gapiała się w swój pudding, ale nikt nie powiedział słowa komentarza.

- A William?

- Zaczął opowiadać o towarach, które Robin przywiózł z Londynu, a najbardziej rozgadał się o kukiełkach. Nie wyglądał na zmartwionego, jeżeli to chcesz wiedzieć.

- Nie wiem, co chcę wiedzieć - szepnęła Bethany.

Jerusa znalazła w ciemności jej rękę i mocno ją ścisnęła.

- Powinnaś wiedzieć, Anny-Beth. Masz wyjść za Williama.

- I wyjdę! Obiecałam, że będę jego żoną, chociaż nigdy nie powinnam była tego robić.

- To było, zanim pojawił się Robin.

- Och, to wcale nie dlatego! On chce mojego ślubu z Williamem, namawia mnie tylko, żebyśmy wszyscy razem popłynęli do Londynu, bo tutaj jest niebezpiecznie. Prosił, bym nakłoniła Williama do wyjazdu, ale ja odmówiłam.

- Bardzo rozsądnie. Szkoda, że zabrakło ci tego rozsądku, kiedy wróciłaś do stołu z płaszczem Robina na ramionach. Też tak raz zrobiłam, chyba z Josephem Hazzardem, gdy byłam na tańcach u jego ciotki. Ależ tatuś wtedy na mnie nakrzyczał! Nazwał mnie bezwstydnicą.

Bethany przypomniawsza sobie, jak stała z Robinem w ciemnym ogrodzie, zamiast od razu wrócić do domu, i jak pozwoliła mu dotknąć swojego policzka. Chyba też zachowała się jak bezwstydnica.

- Anny-Beth? - odezwała się z wahaniem Jerusa. - Wiesz, że ja wtedy tylko żartowałam o Williamie i Robinie z tobą w jednym domu, prawda? Nigdy bym tak nie mówiła, gdybym wiedziała, że...

- Gdybyś co wiedziała? - przerwała jej ostro Bethany. - Mam zamiar poślubić Williama, jak przyrzekłam, Robin zaś może wrócić sam do Londynu.

- A więc wszystko jest w porządku, tak? - upewniła się Jerusa. - Musisz być pewna, Anny-Beth, całkowicie pewna, zanim będzie za późno.

Robin leżał na wąskim łóżku, które pamiętało jeszcze czasy jego dzieciństwa, i wpatrywał się w sufit. Bolała go głowa, ale wiedział, że tylko częściowo jest temu winien nadmiar trunków wypitych u kapitana Sparhawk.

Wyliczał sobie po kolei wszystkie powody, dla których nie powinna mu się podobać Bethany Sparhawk, a znalazł ich niemało. Po pierwsze nie lubił jej rodziny; sama panna była niska, blada i spokojna, podczas gdy jego pociągały kobiety żywiołowe, błyskotliwe i dowcipne. Miała wygląd i maniery prowincjuszki i przepadłaby w każdym liczącym się londyńskim salonie.

Poza tym, oczywiście, była narzeczoną jego ojca.

Dlaczego więc nie przestawał o niej myśleć przez całą noc?

Miała serce. Tylko tyle i aż tyle. Narazając się na dezaprobatę całej rodziny, pobięła wczoraj za nim i wysłuchała go. Nie wyśmiała planów, które snuł względem ojca, przeciwnie, doceniła jego synowskie przywiązanie i lojalność.

Reszta była łatwa do wytłumaczenia: miała słodki uśmiech, zgrabną figurę, zabawnie otwierała usta, kiedy opowiadał jej o malarzach w Londynie, rumieniła się jak mała dziewczynka, a jemu sprawiało to przyjemność.

Wątpił, by ojciec umiał docenić te przymioty. Przyznał przecież, że jej nie

kocha. Oczywiście, będzie jej kupował świecidełka, pobleżał czasem fanaberiom, bawił się jej młodością i niewinnością, ale nie zobaczy tego wszystkiego, co czyniło z Bethany istotę wyjątkową i godną miłości.

Boże, o czym on myślał? Do Bożego Narodzenia zostały trzy tygodnie i musiał je jakoś przeżyć. Będzie ją spotykał na próbach do jakiegoś idiotycznego przedstawienia, a poza tym nie wolno mu było nawet o niej marzyć. Całe trzy tygodnie do ich ślubu... Trzy piekielne, nie kończące się tygodnie.

- To tutaj są lalki? - zapytała Rachel z podnieceniem. - Nie mogę się już doczekać, panie Howland!

- Zaraz je zobaczysz, chwileczkę.

Robin ostrożnie postawił skrzynię na podłodze salonu, a Rachel rzuciła się zobaczyć, jak ją będzie otwierał.

- Moja droga, jesteś tutaj, żeby pomagać, a nie przeszkadzać - napomniała młodszą siostrę Bethany.

- No dobrze, już dobrze. - Rachel odsunęła się niechętnie.

Miała jedenaście lat i nieraz zachowywała się jak dziecko, chociaż usilnie starała się wyglądać na młodą damę. Była jednak już tak wysoka jak Bethany, a kruczoczarne włosy i szare oczy wskazywały, że wyrosnie z niej piękność podobna do Jerusy.

- Powiedziałam Rachel, że może być użyteczna - wyjaśniła Bethany prawie przeproszającym tonem. - Mam nadzieję, że się pan nie gniewa.

- Skądże znowu - odparł Robin, siłąc się na serdeczność. - Przyda się każda para rąk do pracy.

Pomyślał, że są dobrze strzeżeni: Bethany nie tylko wzięła przyzwoitkę, ale też nie zamknęła drzwi do holu, co sprawiło, że mogli ich widzieć interesanci ojca, którzy o tej porze licznie odwiedzali biuro w tylnej części domu. W gruncie rzeczy był zadowolony z takiego obrotu spraw. Jedno go tylko rozśmieszyło - Bethany

wybrała na to spotkanie najskromniejszy chyba strój, jaki mogła znaleźć w swojej szafie. Nie domyślała się nawet, że mogłaby włożyć choćby worek po ziemniakach, a on i tak uznałby, że wygląda pięknie i pociągająco.

Bethany z kolei była mu wdzięczna, że nie próbuje pozbyć się Rachel, nie tylko z egoistycznych pobudek, ale też dlatego, że sama wyrosła w cieniu Jerusy i chciała oszczędzić młodszej siostrze podobnych doświadczeń.

Rachel aż pisnęła z radości, kiedy Robin zanurzył ręce w skrzyni wypełnionej wiórami i wydobyl z niej pasterkę. Ostrożnie wręczył ją dziewczynce, po czym sięgnął po następną marionetkę. Była to wspaniała dama w koronkowym czepcu i suto marszczonych spódnicach obszytych złotą taśmą. Wreszcie przyszła kolej na pasterza o jasnych lokach, takich samych jak u pasterki.

- To jest Chloe - powiedział Robin, rozplątując poskręcane sznurki - a to jej ukochany, Dafnis. Patrząc na nich, nigdy byś pewnie nie zgadła, że to pasterze z antycznych czasów.

- Uważam, że Chloe jest o wiele ładna jak na pasterkę. W Portsmouth i Middletown nieraz widziałam pasterki, ale żadna nie wyglądała jak ona, i nigdy nie słyszałam, żeby jakiś pasterz nazywał się Dafnis - stwierdziła Rachel, która pilnie obserwowała każdy ruch Robina, żeby nauczyć się obchodzenia z marionetkami.

- Och, kochana, najdroższa Chloe! - zakrzyknął Robin falsetem, który wydał się Bethany identyczny z głosem miejscowego pastora. - Cóż ja bym począł bez ciebie?

Rachel tak to rozśmieszyło, że zbyt gwałtownie opuściła sznurki swojej pasterki, a ta nagle upadła na kolana. Poderwała ją zaraz, ale za mocno, tak że nogi biednej Chloe zadyndały w powietrzu.

- Dafnisie, mój drogi chłopcze! Jakież to okrucieństwo poświęcać więcej uwagi swoim owcom niż mnie biednej!

Robin zamaszycie zatoczył ręką i Dafnis zaczął bić się w piersi.

- Kochana, najśłodsza Chloe, nie mam innego wyboru! Pasterstwo to moje

zajęcie, a jeśli zaniedbam stada, nigdy nie zbiorę dość złota, by zapewnić ci szczęście!

Bethany wybuchnęła śmiechem. Jej podejrzania się potwierdziły - Robin naśladował pastora Cartera.

Chwyciła trzecią marionetkę i wcisnęła się z nią między dwie pozostałe.

- Przestańcie natychmiast! Dość tych bezwstydnym umizgów w moim salonie!

- A gdzie niby mielibyśmy się umizgiwać, *mia dolce contessa*? - odezwał się szelmowsko Dafnis. - Może w pani sypialni?

- Panie Howland! - zawołała Bethany, która na próżno usiłowała przybrać surowy wyraz twarzy. - Przecież moja siostra to dziecko! Nasza matka zgodziła się na przedstawienie, ale nie na sprośności.

- Sprośności, *mia signorina*? Nie rozumiem, co to takiego! Błagam, błagam, zechciej pani rozjaśnić mroki mej niewiedzy.

- Robinie, proszę natychmiast przestać. - Bethany krztusiła się ze śmiechu.

- *Mia cara, mia signorina*, musi mi pani pomóc, jeśli mam się poprawić. - Z głębokim westchnieniem Dafnis padł przed hrabiną na kolana, a Robin pomyślał, że lubi nie tylko, kiedy Bethany się czerwieni, ale także gdy się śmieje. Teraz udało mu się spowodować jedno i drugie. Zbliżył swoją marionetkę jeszcze bardziej, tak że nagle obie zaczęły razem podskakiwać.

- Robinie, nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi, ale jestem pewna, że to same niegodziwości - wysapała Bethany. Może to rzeczywiście były niegodziwości, ale dawno już się tak nie ubawiła. - Proszę, już wystarczy!

Robin chciał z powrotem rzucić Dafnisa na kolana, ale nagle splątały się sznurki obu lalek. Bethany szarpnęła hrabiną, przez co jeszcze bardziej się zamotały, a wtedy, nie wiadomo jakim sposobem, połączyły się również dłonie dwojga ludzi.

Nie rozumiejąc jeszcze, co się stało, Bethany umilkła. Robin stał tak blisko, że widziała złote cętki na jego brązowych tęczęwkach. Przygryzła dolną wargę i zastygła w nieco bezmyślnym oczekiwaniu, bo nie miała nawet siły zastanowić się nad tym, co powiedzieć. On, przed chwilą jeszcze tak rozbawiony, stał się nagle poważny, wręcz spochmurniał.

- Bethany, coś ty najlepszego zrobiła - skarciła starszą siostrę Rachel i zabrała się do rozdzielania sznurków. - Zresztą pan Howland też strasznie tu napsocił.

Robin nie stracił przytomności umysłu.

- Nie jest aż tak źle, Rachel. Dafnis osiągnął przynajmniej to, że twoja siostra przestała nazywać mnie panem Howlandem. Ciebie też zresztą o to proszę - wkrótce zostaniemy rodziną, musimy więc zrezygnować ze sztywnych grzeczności.

- Bardzo chętnie, Robinie - ochoczo zgodziła się Rachel. - Jeśli chodzi o przedstawienie, trzeba jednak wymyślić coś lepszego, bo to na pewno nie spodoba się mamie.

- To prawda - westchnął Robin, odkładając na bok swoją lalkę, już wyzwoloną z więzów. Nie miał śmiałości popatrzeć na Bethany. Zastanawiał się, czy zdawała sobie sprawę, że niewiele brakowało, a pocałowałby ją. Po chwili dodał: - A gdyby tak zmienić hrabinę w anioła, co wy na to? Bethany, czy mogłaby się pani tym zająć? Wystarczyłoby chyba doprawić jej skrzydła. Wytnie je pani z kartonu i pięknie pomaluje, prawda?

- Dlaczego nie? - Bethany obracała w rękę marionetkę, jakby szukała miejsca na przyczepienie skrzydeł. Zgodziłaby się na wszystko, byle tylko nikt nie usłyszał, jak bije jej rozkołatanе serce. - Myślę, że doskonale nadaje się na anioła.

- Wiesz, że potrzebna też będzie aureola - szczebiotała Rachel, całkowicie nieświadoma tego, co działo się obok niej.

- Zdaje mi się, że świetnie znasz się na rzeczy, Rachel - powiedział Robin. - Może sama weźmiesz anioła, a Chloe zostawisz dla Bethany.

- Naprawdę? To cudownie! W takim razie dla anioła zarezerwujemy ostatnie

słowo. Chloe i Dafnis niech sobie robią głupstwa, ale na końcu anioł zaprowadzi porządek i złoży wszystkim życzenia.

- Bardzo słusznie - powiedział Robin takim tonem, że serce Bethany znów zatłukło się niespokojnie. - Sama miłość chyba rzeczywiście nie wystarczy, żeby wypełnić przedstawienie. Tymczasem spróbujmy trochę tu posprzątać.

Rozdział 7

Bethany szła szybkim krokiem w stronę nabrzeża. Wiatr wydymał jej spódnicę i wściekle szarpał koszykiem, który niosła w ręce. Do świąt pozostało już tylko cztery dni; jeszcze niedawno od ślubu dzieliły ją całe tygodnie, a teraz miała przed sobą zaledwie kilka dni! Sama nie wiedziała, kiedy upłynął ten czas. Obiecała matce pomoc w zakupach i musiała się spieszyć, żeby w południe być z powrotem w domu.

Najpierw jednak chciała zobaczyć się z Williamem. Był tam, gdzie spodziewała się go zastać - w kantorze. Oczy mu pojaśniały na jej widok, podszedł szybko, by ją przywitać, zostawiając bez odpowiedzi kopistę, który pracował obok jego biurka i właśnie zadał mu jakieś pytanie.

- A to dopiero niespodzianka. - Pomógł jej ściągnąć rękawiczki i czule ucałował obie dłonie. - Zmarzłaś, moja panno. Nie powinnaś w ogóle wychodzić z domu w taki ziąb, a ty przeszłaś taki kawał.

- Kiedy chciałam cię zobaczyć. - Bethany wyciągnęła szyję, żeby go ucałować. - Mogłabym zresztą iść znacznie dalej, żeby się z tobą spotkać.

Na wpół świadomie uchylił się od jej pocałunku.

- W czwartek za to nie będziesz musiała opuszczać Crescent Hill - powiedział, chrząkając znacząco.

Dopiero teraz Bethany przyszło do głowy, że jej niewinny gest ośmieszał go w oczach pracownika, i przyrzekła sobie być mniej wylewna w przyszłości. Zdjęła

z ramienia koszyk i postawiła go na podłodze.

- Mama postanowiła przetransportować już do Crescent Hill wszystkie rzeczy potrzebne na przyjęcie. Dziś po południu mamy je tam zawieźć z Joshua.

- Dzisiaj? - William zmarszczył brwi. - Musicie uważać, chyba spadnie śnieg, niebo jest zachmurzone.

- Niebo wygląda tak samo od tygodnia. Poza tym dobrze wiesz, że w Newport śnieg na ogół nie spada przed Trzema Królami.

- Dopilnuj przynajmniej, żeby ten nicpoń uwinął się jak najprędzej. Nie wolno ci się teraz przeziębic.

Bethany uśmiechnęła się, bo wzruszyła ją ta troska. Na swój sposób William starał się dbać o nią.

- Wszyscy moi bracia to nicponie, więc nie ma powodu, żeby wyróżniać Josha tym mianem. Ale przypilnuję go, możesz być pewien.

Uniosła haftowaną serwetkę przykrywającą koszyk i ostrożnie wyjęła z niego niewielki placek.

- Spójrz, co przyniosłam. Przez całą jesień łuskałam z Jerusą orzechy i smażyłam w cukrze owoce, żeby mama miała z czego piec ciasta na Boże Narodzenie - i na nasz ślub, jak się okazało. Już są gotowe, ale na razie nie wolno ich tknąć. Tylko to jedno wzięłam po kryjomu dla ciebie, na spróbowanie.

- Przyniosłaś mi ciasto? - Patrzył, nie rozumiejąc. - No cóż, już wkrótce nie będziesz musiała zajmować się takimi rzeczami. Nie po to żenię się z tobą, żebyś mi gotowała.

Bethany zapytała samą siebie, jak to możliwe, że William tak opacznie zrozumiał jej intencje. Spuściła głowę i położyła nieszczęsne ciasto na biurku.

- A po co żenisz się ze mną?

- Żebyś była moją żoną, oczywiście. - William niemal ją ofuknął. - Od siedzenia w kuchni jest kucharz, wystarczy, że codziennie rano dasz mu dyspozycje.

- Oczywiście - powtórzyła cicho za nim.

William nie należał do mężczyzn, którzy demonstracyjnie obdarzają kobietę dowodami miłości i nie oczekiwała, że będzie to robił. Przynajmniej dotychczas nie oczekiwała. Z drugiej strony wiedziała, że tak naprawdę to nie tego ranka wszystko się zmieniło, lecz znacznie wcześniej.

Przymknęła oczy. Matka uprzedziła już ją, czego się spodziewać w noc poślubną. Najpierw poczuje ból, ale potem nastąpią same miłe chwile. Wbrew zamierzeniom matki ta rozmowa wcale nie dodała Bethany otuchy, przeciwnie, wprawiła ją w popłoch. Była przyzwyczajona do myśli, że kocha Williama, tymczasem nagle stwierdziła, że jej odczucia zupełnie nie pokrywają się z opowieścią matki o jej własnym narzeczeństwie. Między nią a Williamem wcale nie przebiegały żadne iskry, jego widok nie wprawiał jej w uniesienie. Raz jeden ją pocałował, ale nie wywołało to nic ponad pewien rodzaj zadowolenia. Wystarczyło za to, że Robin tylko spojrział na nią, a ona...

Zacisnęła jeszcze mocniej powieki, zmuszając się do myślenia o Williamie. Może ślub spowoduje, że jej uczucia będą głębsze i żywsze. Zdaniem matki to dopiero w małżeństwie miłość naprawdę się rozwija. Sprawy same się ułożą, po prostu nie trzeba wszystkiego chcieć od razu. Trudno jednak znieść tyle wątpliwości, przecież zanim pojawił się Robin, miała niewzruszoną pewność!

Od pamiętnej rozmowy w ogrodzie ani razu nie była z nim sam na sam, mimo to czuła, że istnieje między nimi coś nieuchwytnego, niewypowiedzianego, coś, co ją przerażało i pociągało jednocześnie.

William obserwował ją z niepokojem, w końcu odezwał się łagodnie:

- Nie wiedziałem, że tak ci zależy na gotowaniu. Myślałem, że to nudne i męczące zajęcie dla damy, ale jeżeli tego chcesz...

- Nie, nie - przerwała mu pospiesznie. - Będzie tak, jak zaplanowałeś. Jestem pewna, że twój kucharz umie więcej niż ja.

- Cieszę się. - Odetchnął z ulgą. - Nie chciałbym, żeby takie głupstwo nas

poróżniło.

- Na pewno nie. - Uśmiechnęła się blado.

Nie mogła zranić tego człowieka. Był dobry, szlachetny, a ona musiała po prostu wyrzucić z głowy wszystkie szalone myśli.

Jeszcze raz sięgnęła do koszyka, tym razem po płaski pakunek starannie owinięty w kawałek wzorzystego materiału.

- A tu, Williamie, mam inny przedświąteczny prezent - powiedziała, modląc się w duchu, żeby ten podarunek został przyjęty lepiej niż poprzedni.

- Jak tak dalej pójdzie, na Gwiazdkę nie będziemy mieli już nic do ofiarowania oprócz siebie samych - zażartował.

Trudno mu było rozwiązać supeł na wstążce i szydził z własnej niezręczności. Kiedy wreszcie rozpakował tajemniczy przedmiot, zamilkł na dłuższą chwilę.

- Wiem, że można by lepiej uchwycić podobieństwo - szepnęła Bethany - pomyślałam jednak, że nie masz w domu portretu syna, a on przecież wyjedzie po Bożym Narodzeniu.

Popatrzyła na niego niespokojnie i ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że ma łzy w oczach.

- Nie wiesz nawet, co zrobiłaś, moja słodka. Jak ci się to udało? Chłopak jest jak żywy, i taki podobny do swojej matki.

- Do matki? Wydawało mi się, że jest podobny do ciebie.

- Nie, nieprawda. Od dziecka wyglądał jak jej kopia. Kręcił się taki malec po domu, patrzył na mnie oczami biednej Sarah, a mnie serce się ścisnęło.

Bethany otoczyła Williama ramieniem, on zaś tym razem wcale się nie odsunął.

- Chyba pierwszy raz opowiadasz mi o swojej żonie.

- Bo też nie ma zbyt wiele do opowiadania. - Uśmiechnął się bezradnie. - Kiedy się pobieraliśmy, miała zaledwie siedemnaście lat, a ja byłem osiemnastoletnim młodzieńcem. Kochaliśmy się bardzo przez te jedenaście

miesiący, które Bóg pozwolił nam spędzić ze sobą. Straciłem ją, gdy urodził się Robin. Płakał cały czas, dzień i noc bez przerwy. Nie złościłem się za to na niego. Ja też płakałem.

- Williamie, tak mi przykro. - Bethany stała z policzkiem opartym na jego ramieniu, zastanawiając się, jak go uspokoić. Minęło prawie trzydzieści lat, a jego ból, jak widziała, był ciągle żywy. - To musiało być wielkie uczucie.

- Nie mylisz się, moja droga - powiedział poważnie, ciągle pogrążony we wspomnieniach.

Bethany łzy popłynęły z oczu. Nie żałowała tylko Williama i jego biednej Sarah, żałowała też siebie. Czy ktoś, kto kochał już tak mocno, może dać tyle samo miłości drugiej żonie?

Otrząsnął się wreszcie i przyjaźnie poklepał ją po ręce.

- Nie powinienem był mówić tego wszystkiego, prawda?

- Nie opowiadaj głupstw. - Bethany zamrugała szybko, żeby powstrzymać łzy. - Po tym, co usłyszałam, mogę cię tylko jeszcze bardziej szanować.

Mimo wszystko William był zakłopotany.

- To jednak zbyt smutne tematy, żeby rozmawiać o nich ze swoją narzeczoną.

Zerkając mu przez ramię, Bethany przyglądała się swojemu dziełu. Portret namalowała z pamięci, nie chciała, by Robin jej pozował. Pewnie kazałby uwiecznić się w jakiejś uroczystej pozie, a tak mogła go pokazać swobodnego, naturalnego, takiego, jaki był naprawdę.

- Powiedz, gdyby Sarah nie umarła, byłbyś równie surowy dla Robina? - zapytała spokojnie.

- Surowy? - Na twarzy Williama natychmiast pojawił się wyraz niechęci, jaki zawsze przybierał, gdy chodziło o syna. - Był rozpieszczany jak żadne inne dziecko w mieście, wychowywałem go na małego panicza, bo tego życzyłaby sobie Sarah, dostawał wszystko, czego chciał.

Oprócz miłości, pomyślała Bethany, a głośno powiedziała:

- Robin zwierzył mi się, jak bardzo pragnie, żebyś z nim wyjechał do Londynu.

- Wielkie nieba, oszalał z tym Londynem! Gdzieżby tam król Jerzy miał marnować swoje wojsko i wysyłać je przeciwko nam. Przecież on nawet nie raczy odpowiedzieć na nasze petycje, więc co tu mówić o mobilizowaniu floty z naszego powodu.

Szybkim ruchem zawinął z powrotem portret w kolorową tkaninę i uniósłszy blat biurka, włożył go do środka. Ten gest miał w sobie coś ostatecznego i Bethany od razu to zrozumiała.

- Czyli nikomu z nas nie zagraża rzeczywiste niebezpieczeństwo? - zapytała. - Ani tobie, ani mojemu ojcu, ani braciom?

- Wyobrażasz sobie, że twój ojciec postępowałby niewłaściwie w takiej sprawie? Nie wiem, skąd Robinowi przyszło do głowy, że król ośmielił się wydać wojnę swoim własnym poddanym. Zastanawiam się, czy biedny chłopak jest przy zdrowych zmysłach.

- Wydaje mi się, że Robin uwierzył pogłoskom, bo chciał znaleźć pretekst dla swojego przyjazdu do domu. On nie oszalał, tylko po prostu czuje się samotny.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Jak to samotny - przecież mieszka w samym sercu Londynu! Ten chłopak nigdy nie miał kłopotów ze znalezieniem towarzystwa, zwłaszcza damskiego. Wcześniej nauczył się płacić rozpustnicom, i to dosyć drogo!

- To już nie jest chłopak - powiedziała z przekonaniem Bethany. Stosunki między ojcem a synem były chore, ale jeśli chodziło o nią, przychodząc na to spotkanie, była zdecydowana zachować bezstronność. Teraz była rozdrażniona całą rozmową, a zwłaszcza uwagą, że rozdając wszystkie prezenty z wyprzedzeniem, nie będzie miała nic do ofiarowania na Gwiazdkę. - Robin jest starszy ode mnie i dawno już osiągnął odpowiedni wiek, żeby traktować go poważnie. Ufasz mu w interesach, dlaczego więc nie zaufasz mu jako człowiekowi - i swojemu synowi?

- Na Boga, Bethany, czy to on wysłał cię z takim posłaniem? - W Williamie najwyraźniej wzbierała wściekłość. - Zauważyłem, że stosunki między wami są dość dobre, ale jeżeli robisz to, co on ci każe...

- On mnie o nic nie prosił, Williamie - stwierdziła grzecznie, lecz stanowczo. - Sprawa jest jasna jak słońce. Czy naprawdę nie możesz zrozumieć, że przepłynął się przez ocean, ponieważ jesteś jego ojcem, a on cię kocha?

- Niech to licho, Bethany, nie musiałem czekać aż na ciebie, żeby się o tym dowiedzieć!

- Nie? Dlaczego w takim razie sam nie powiesz Robinowi, co czujesz?

William na chwilę wstrzymał oddech, jakby zbierał siły, żeby powiedzieć coś ważnego, ale tylko gniewnie parsknął.

- Do stu diabłów, Bethany, do stu diabłów! - Nie zdobył się na nic więcej.

Otoczyła go ramieniem.

- Posłuchaj, Williamie - powiedziała łagodnie. - Moja matka zawsze wymaga, żeby jej dwaj synowie - mówię dwaj, bo Nicka trudno zmusić do czegokolwiek - spędzali Boże Narodzenie z rodziną, a oni ciągną do domu, czasami nawet z bardzo daleka. Czy myślisz, że Sarah czekałaby aż dziesięć lat na powrót swego jedyne dziecko?

- Kochanie, nie wiesz, o czym mówisz - z trudem panował nad głosem. - Oczywiście, że Sarah nie chciałaby czekać tak długo. Ja też nie. Ale ty próbujesz teraz cofnąć te wszystkie lata.

- Wcale nie cofnąć, nie. Po prostu uważam, że należy postawić krzyżyk na przeszłości i zapomnieć o niej.

Bethany wiedziała, że graniczyłoby to z cudem. Zbliżało się jednak Boże Narodzenie - czy istniał lepszy moment, by mówić o takich sprawach?

Zbliżając się do domu, Bethany już z daleka widziała, że wóz z rzeczami czeka załadowany przed bramą. Rachel stała sama przy koniach i czymś je

podkarmiała. Bethany przyspieszyła kroku. Była spóźniona o kwadrans, a wszystko z powodu znajomych i sąsiadów, którzy zaczepiali ją co chwila po drodze, by złożyć podwójne życzenia - z okazji świąt i ślubu.

Niebo było zasnuwane szarymi chmurami. William miał rację - lada chwila mógł spaść śnieg.

- Gdzie Josh? - zapytała. - Umówiliśmy się, że wyjedziemy w południe. Nie chcę, żeby po drodze złapała nas śnieżycą.

- Jeszcze za wcześnie na śnieg. Nigdy nie pada po raz drugi przed Trzema Królami - odpowiedziała Rachel, wymierzając dla zabawy koniowi prztyczka w nos. - Josh jest w domu i kłóci się z mamą.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i z domu wypadł Josh, ze złością wciskając na głowę czapkę z bobra. Josh był bliźniakiem Jerusy, a jego zmienne usposobienie stanowiło mniej przyjemną w obcowaniu wersję jej nieobliczalnego charakteru. Za nim z gniewnym pohukiwaniem wybiegła na próg matka.

- Jeżeli nie masz zamiaru zrobić tego, o co prosiłam - zawołała, nie przejmując się wcale, że są na ulicy - trzeba było wcześniej mnie zawiadomić, zanim załadowałam wóz.

- Powiedziałem dziś rano, że mam inne plany - warknął - ale nie chciałaś słuchać. Zmieniamy maszt na „Tygrysie” i muszę tam iść.

- Jakoś trudno mi uwierzyć, żeby pan Henning zabierał się do poważnej pracy o tej porze, bo nie skończyłby przed nocą. Rzeczywiście pilno ci do pracy - ale przy butelce rumu w porcie!

Bethany miała ochotę się roześmiać, lecz brat właśnie stanął koło niej i zobaczyła, jak bardzo jest wzburzony. Na morzu dowodził dwudziestoosobową załogą, która słuchała go jak samego Pana Boga, ledwo jednak przekraczał próg domu, matka natychmiast zaczynała nim dyrygować. Podobnie postępowała z pozostałymi synami - i niezależnie od tego, jak bardzo protestowali i krzywili się na jej pomysły, zawsze wygrywała.

- Posłuchaj, mamó - Josh usiłował mówić spokojnie - nie widzę powodu, żeby Bethany nie mogła powozić sama.

- Ja też nie widzę, mamusiu - podchwyciła ochoczo Bethany. - Przecież nieraz to robiłam.

- Ale nigdy sama, ojciec zawsze był przy tobie - powiedziała Mariah, usiłując wsunąć pod czepek niesforny kosmyk. - To nie wypada, nie jesteś chłopską córką. Poza tym gdyby coś ci się stało, nigdy nie zdołałabym się wytłumaczyć przed ojcem ani przed panem Howlandem.

- W takim razie proszę pozwolić, że ja zawiozę pannę Sparhawk - odezwał się Robin. Wszyscy byli tak zajęci dyskusją, że nie zauważyli, jak się zbliżał. Najwyraźniej przyszedł z zamiarem odbycia próby, bo w rękach trzymał pudło z marionetkami. - Nie chciałbym, żeby mój ojciec miał nowe zmartwienia. Z przyjemnością panią zawiozę, gdzie trzeba.

- A ja z przyjemnością przyjmuję pańską propozycję - zgodziła się Mariah. - Bóg mi świadkiem, że nie powinnam tak łatwo ustępować temu huncwotowi, ale trudno, stało się.

Uśmiechnęła się uprzejmie do Robina, co nie przeszkodziło jej w wymierzeniu synowi lekkiego szturchańca. Bethany tymczasem nie wiedziała, co zrobić. Perspektywa drogi do Crescent Hill, dotąd tak przyjemna, teraz ją przerażała. Zanim wypakują wszystkie rzeczy i wrócą, spędzi z Robinem co najmniej trzy godziny!

- Można przecież poczekać na Josha do jutra - powiedziała z udaną swobodą. - Jestem pewna, że pan Howland ma mnóstwo ciekawszych zajęć niż jechać ze mną do Crescent Hill.

- Skądże znowu - odparł Robin z takim zapalem, że nie odważyła się nawet podnieść na niego oczu. - Niech to będzie mój mały wkład w uroczystość.

Bethany otworzyła usta, by jeszcze raz zaprotestować, ale złowiła spojrzenie matki, która najwyraźniej była bardzo zadowolona, że wszystko tak dobrze się

układa.

- A może Rachel wybierze się z nami - rzuciła szybko. - Masz ochotę, siostrzyczko?

- Och, tak! - Rachel aż pokraśniała z zadowolenia. - Z Robinem wszędzie bym poszła!

Robin skłonił się z uśmiechem, żałując, że Bethany nie podziela tego entuzjazmu. Od dawna starał się znaleźć okazję, by porozmawiać z nią sam na sam, ale zawsze wymyślała jakiś wybieg. Bethany posługiwała się swoją rodziną jak tarczą ochronną i robiła to zrećźnie. W jednym okazała się jednak bardzo niewprawną - w maskowaniu własnych uczuć. Kiedy ich ręce dotknęły się na chwilę podczas pierwszej próby, Robin spostrzegł jej zmieszanie i poczuł bijące od niej gorąco. Nie widząc Bethany, tęsknił ponad siły. Nie wymienili na ten temat ani słowa, ale wiedział, że ciągną ku sobie. Mówiły o tym jej oczy - a także wszystkie wysiłki, które podejmowała, by trzymać go na dystans.

Była tak dobra, mądra, urocza, piękna nie jakąś banalną urodą, ale na swój własny, oryginalny sposób, że najchętniej nigdy by się z nią nie rozstawał, i dziwiło go, że całe miasto nie zabiega o jej towarzystwo. Za cztery dni miała zostać żoną jego ojca. Cała sytuacja zakrawała na kiepską farsę i chociaż ze wszystkich sił próbował wymyślić jakieś rozwiązanie, nie znajdował wyjścia. Był rozgoryczony i pełen przygnębienia, bo zakochał się pierwszy raz w życiu, a nie widział najmniejszej nadziei dla tej miłości.

Teraz też silił się na beztroskę, chociaż miał wrażenie, że wszyscy słyszą, jak bije mu serce. Bethany odwróciła się od niego z chmurną miną i poprosiła brata, by pomógł jej wdrapać się na kozła. Robin wrzucił pudło z marionetkami do tyłu i ostrożnie usadowił się między Rachel a Bethany, która oczywiście spróbowała odsunąć się jak najdalej od niego. Twarda drewniana ławka okazała się jednak za wąska dla trzech osób i było im bardzo ciasno.

Bethany miała bolesną świadomość, że udo Robina dotyka jej uda, że ma

podciągniętą spódnicę, spod której wystają halki, a te z kolei padają na jego buty. Gruby pled, który matka rzuciła im na kolana dla ochrony przed zimnem, sprawiał, że bliskość była jeszcze bardziej krepująca. Kiedy Robin sięgnął po lejce, dotknął przelotnie jej ramienia. Z rosnącym przerażeniem myślała o trzech godzinach, bo spędziła obok niego dopiero trzy minuty, a już trudno jej było oddychać i dłonie, jakkolwiek ukryte w grubych rękawiczkach, miała wilgotne od potu.

- Niech pan uważa na moje dziewczęta, panie Howland. A ty, Rachel, przykryj się dobrze, żebyś nie zaczęła jeszcze bardziej kaszleć. W kieszeni masz chusteczkę do nosa i nie zapomnij, że masz jej używać w razie potrzeby. - Mariah ograniczyła swe przestrogi do tych kilku uwag, bo widać było, że zmarzła i pilno jej do ciepłego domu.

Robin potrząsnął lejcami, konie ruszyły, Rachel radośnie pomachała matce na pożegnanie. Bethany nie zdobyła się na żaden gest, tak była pochłonięta obserwowaniem ruchu ulicznego. Wszystko zdawało się ją interesować - eleganckie bryczki i zwykłe chłopskie wozy, obarczone zakupami kobiety wracające z hali targowej, żeglarze snujący się wolnym krokiem w nadziei, że spotkają jakiegoś kapitana, który przyjmie ich na statek, a jeżeli po drodze nie trafi im się praca, to przynajmniej sklep z rumem. Oglądała się za każdym bezpańskim kotem i psem, z upodobaniem patrzyła na krzykliwe mewy. Wszystko przyciągało jej uwagę, tylko nie siedzący obok mężczyzna.

Rachel usta się nie zamykały, ale Bethany udawała tylko, że jej słucha. Po jakimś czasie wybrukowane ulice miasta ustąpiły miejsca wiejskiej drodze, przy której rozciągały się ponure o tej porze roku, porośnięte badyłami pola. Niebo było tutaj ciemniejsze i jakby cięższe niż w samym Newport. Od morza zawiewał przenikliwy wiatr o słonym zapachu. Bethany wzdrygnęła się i mocniej otuliła szalem.

- Czy wie pan, jak się jedzie do Crescent Hill? - usłyszała swój głos, który zabrzmiał obco i sztywno.

- Oczywiście, któż by nie wiedział? - powiedział ze swobodą. - Kiedy byłem dzieckiem, mój ojciec zawsze opowiadał, że to wielki dom zbudowany na hiszpańskim złocie. Może sobie pani wyobrazić moje rozczarowanie, kiedy wreszcie tam pojechaliśmy i zobaczyłem zwykły dom z drewna, cegieł i zaprawy murarskiej, podobny do setek innych domów.

Bethany uśmiechnęła się mimo woli.

- Nikt nigdy nie mówił mi o nim ten sposób, ale to prawda, że złoto, które ojciec zdobył na wojnie z Hiszpanią, pozwoliło zapłacić za Crescent Hill, tak samo jak wojnie z Francją zawdzięczamy dom w mieście. Kiedy teraz patrzę na ojca, nie mogę uwierzyć, że był kiedyś słynnym korsarzem, takim groźnym i strasznym.

W przeciwieństwie do niej Robin bez najmniejszego trudu wyobrażał sobie kapitana Sparhawk w podobnej roli, ale roztropnie zachował tę myśl dla siebie.

- Co w takim razie z moim ojcem? Czy starcza pani wyobraźni, żeby zobaczyć, jaki był dawniej? - zapytał najbardziej obojętnym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

- Oczywiście - odparła pospiesznie. - Nie muszę nawet specjalnie się wysilać, dlatego że po pierwsze nie jest jeszcze stary - ma przecież tylko czterdzieści siedem lat, a po drugie wystarczy mi spojrzeć na pana i już wiem, jak on wyglądał w młodości.

Robin uniósł brew, co nie umknęło jej uwagi, tak samo zresztą jak jego pełen napięcia uśmiech. Zdała sobie sprawę, że powiedziała więcej, niż zamierzała.

- A więc podoba się pani to, co widzi?

Powietrze było lodowate, ale Bethany zrobiło się gorąco. Pewnie zauważył, jak często mu się przyglądała przez te wszystkie tygodnie. Usprawiedliwiała się sama przed sobą, że robi to dla potrzeb portretu, ale tak naprawdę z wielką przyjemnością patrzyła na jego twarz, sylwetkę, na ruchy pełne wdzięku i zarazem siły.

- Pański ojciec to przystojny mężczyzna - zauważyła oschłym tonem. - A pan

jest do niego podobny, co zresztą jest panu wiadome.

- Bethany maluje te swoje obrazki i według niej to wszystko usprawiedliwia - włączyła się Rachel, niezadowolona, że pomija się ją w rozmowie. - Potrafi gapić się w człowieka jak sroka w gnat i myśli, że nikt tego nie zauważy.

- Jeśli chodzi o mnie, to może nie spuszczać ze mnie wzroku - powiedział Robin w taki sposób, że Bethany nie miała już wątpliwości, iż cały czas był świadom jej manewrów. - Skoro ma to służyć mojemu ojcu - proszę bardzo.

- Dziękuję - mruknęła udęczona Bethany. Już ona porozmawia z tą nieznośną Rachel! Jak sroka w gnat - coś takiego! Teraz jednak najlepiej udawać, że nic się nie stało. Wyprostowała się z wysiłkiem i wyciągnęła rękę przed siebie. - Skręcimy za tym pagórkem. A przy następnym podejździe będziemy już widzieli kominy Crescent Hill.

Umilkła. Jeszcze kilka minut i zajadą na miejsce. Rozładunek nie powinien trwać dłużej niż kwadrans, pomoże im przecież pani Belton pilnująca posiadłości pod nieobecność właścicieli. Pozbędą się obciążenia, więc droga powrotna potrwa zapewne trochę krócej. W sumie nie więcej niż za półtorej godziny będzie wreszcie w domu. Oby tylko umiała trzymać buzię na kłódkę i bronić się przed niesfornymi myślami! Jakże ona przetrwa te półtorej godziny...

- Och, patrzcie! - Rachel zadarła głowę do góry. - Robin, Bethany, patrzcie, śnieg pada!

Rozdział 8

Zanim dojechali do Crescent Hill, niewinnie zrazu prószący śnieżek zamienił się w duże, ciężkie płatki, spadające z nieba z taką szybkością i w takiej masie, że w ciągu kilku minut wszystko pokryło się bielą. Kiedy Bethany i Rachel zeskoczyły wreszcie z kozła, z pewnym trudem po długim siedzeniu na niewygodnej ławce, musiały porządnie się otrzepać z białego puchu, który grubą warstwą osiadł im na płaszczach.

Stojąc na ziemi, Rachel szybko jednak przysła do siebie i szeroko rozpostarłszy ręce, rozpoczęła jakiś dziki taniec.

- Spójrz tylko, Bethany! Jaki wspaniały, przepiękny śnieg - wyśpiewywała.

- No proszę, a oni wszyscy uparli się, by twierdzić, że prawdziwa zima zaczyna się dopiero od Trzech Króli - powiedziała z przekąsem Bethany, ostrożnie sięgając po kosz wypełniony po brzegi świątecznym ciastem. - Rachel, pomóż wyładowywać rzeczy, bo inaczej nigdy tego nie skończymy. Mam nadzieję, że pani Belton trzyma na ogniu kociołek z gorącą wodą i że zaraz napijemy się czekolady. Przemarzłam do szpiku kości.

Robin zajął się wycieraniem koni, które na chłodzie wypuszczały z nozdrzy obłoki pary, a przy okazji pilnie obserwował niebo.

- Należałoby raczej liczyć, że zaoferuje nam coś więcej niż czekoladę. Jeżeli zaraz nie przestanie padać, będziemy musieli zostać na kolację.

- Nie możemy - powiedziała Bethany, przerażona na samą myśl o tym, że mieliby spędzić noc w Crescent Hill. - Musimy wracać do miasta.

- Nie w taki śnieg - stwierdził stanowczo Robin. - Powóz jest otwarty, konie zmęczone, a w tym terenie nawet przy dobrej pogodzie trudno się jeździ. Przyrzekłem waszej matce, że będę nad wami czuwał, a to oznacza, że zostaniemy tu, dopóki nie przestanie padać śnieg.

- Zostaniemy? - Rachel usłyszała, o czym mówią. - Będziemy spać w

Crescent Hill bez mamy i taty? - zapiszczała z zachwytem i nie czekając już na odpowiedź, wróciła do swoich podskoków.

Jej ewolucje przerwał nagły atak kaszlu. Bethany spojrzała ze złością na Robina.

- Widzi pan, gdybyśmy się wstrzymali z tą podróżą do jutra, tak jak chciałam, to teraz siedzielibyśmy bezpiecznie w ciepłym salonie - powiedziała, a każde jej słowo zamieniało się w obłoczek pary.

Zanim zdążył otworzyć usta, odwróciła się, chwyciła kosz z ciastem i ślizgając się trochę na oblodzonej trawie, podbiegła do siostry. Po chwili prowadziła ją w stronę drzwi. Na progu odstawiła ciężar i nacisnęła na klamkę, która jednak nie ustąpiła. Bethany zaczęła głośno pukać i nawoływać panią Belton, ale nikt nie odpowiadał. Drzwi były zamknięte.

- Gdzie ona może być? - wysapała Rachel między dwoma atakami kaszlu. - Zmarzłam.

- Wszyscyśmy zmarzli - powiedziała krótko Bethany i ruszyła na oględziny domu.

Wiedziała, że od zachodniej strony znajdzie małe okienko. Zdjęła rękawiczkę, wsunęła dłoń między okiennice i namacała zimny metalowy haczyk. Po chwili udało się jej stamtąd wyciągnąć zapasowy klucz.

- Pani Belton ma zamężną córkę, która mieszka na farmie niedaleko Portsmouth. Może pojechała do niej w odwiedziny, bo przecież mama zawiadomiła ją, że ktoś od nas pojawi się tu najwcześniej jutro wieczorem - podzieliła się domysłami z Rachel i Robinem, którzy czekali przy wejściu.

Klucz ze szcęknięciem obrócił się w zamku, Bethany pchnęła drzwi. Ogień pod kuchnią był wygaszony, garnki puste, popiół dokładnie wymieciony, co wskazywało na dłuższą nieobecność pani Belton.

- Nie ma gorącej czekolady - zauważyła z pretensją w głosie Rachel.

- I nie będzie, jeżeli same jej nie przygotujemy. - Bethany postawiła kosz na

stole, chwyciła wiadro i wcisnęła je Rachel do ręki. - Idź do studni i przynieś wody. No, ruszże się!

Sama nachyliła się na kuchnię i po omacku zaczęła szukać krzesiwa. Energicznie zabrała się do rozpalania ognia, ale bez powodzenia. Iskry jak na złość nie chciały lecieć. Zniecierpliwiona zaklęła siarczyście, w stylu godnym swoich braci. Robin, który właśnie wszedł z nową porcją pakunków i skrzynek, spojrzał na nią zdziwiony.

- Da sobie pani radę? - zapytał, stając przy niej.

- Oczywiście, dziękuję. - Bethany zdołała wreszcie wykrzesać snop iskier i polana zajęły się płomieniem. Przykucnęła przy piecu, żeby ogrzać ręce. - Denerwuję się, bo oczekiwałam czegoś innego niż to, co mi się przydarza.

- Życie nigdy nie jest zgodne z naszymi oczekiwaniami - powiedział Robin i wyciągnął rękę, żeby jej pomóc wstać, a ona, o dziwo, przyjęła tę pomoc. - Ale przecież mogło być o wiele gorzej.

Niepewna, jak się zachować, spojrzała na niego badawczo. Wiedziała, że mówił o nich, a nie o pustym domu, postanowiła jednak udać, że nie rozumie aluzji. Ciągłe trzymał ją za rękę. Jakim cudem miał tak rozgrzane palce, gdy jej dłoń była jak sople lodu?

- Rzeczywiście można utknąć w gorszym miejscu niż to.

- Tak, naturalnie - potwierdził bez entuzjazmu, rozglądając się po wielkim i bogato urządzonej domu. - Na pewno nie umrzemy z głodu, mamy przecież kosz pełen ciasta.

Uśmiechnęła się. Trudno było długo gniewać się na niego, kiedy tak zerkał na nią łobuzersko spod runda kapelusza, na którym topniały jeszcze płatki śniegu. Tu, w Crescent Hill, wydawali się trochę innymi ludźmi, jakby burza śnieżna odmieniła cały świat, a nie tylko uwolniła ich od obowiązku punktualnego powrotu do Newport na kolację.

- Czy ja muszę pracować za wszystkich? - zawołała płaczliwie Rachel, kiedy

pełne po brzegi wiadro uderzyło o framugę drzwi kuchennych.

Bethany zostawiła czym prędzej Robina i rzuciła się pomóc siostrze.

- Popatrz, co narobiłaś! - zganiła ją tym surowiej, że chciała ukryć swoje zmieszanie. Rachel widziała przecież, jak stali z Robinem, trzymając się za ręce. - Zachlapałaś podłogę, całą spódnicę masz przemoczona, doprawdy, można by pomyśleć, że pierwszy raz w życiu przyniosłaś wodę ze studni. Na górze są skrzynie z ubraniami, masz tam coś do przebrania?

- Nie, już ze wszystkiego wyrosłam - odpowiedziała Rachel, pociągając nosem.

- W takim razie zdejmij narzutę z któregoś łóżka i zawiń się w nią, póki nie wysuszemy twoich halek przy ogniu - zarządziła Bethany. - No, szybciej, nie chcę, żeby mama miała potem do mnie pretensje.

Zrezygnowana westchnęła, patrząc, jak po każdym kroku Rachel zostają na podłodze mokre ślady. Nawet gdyby śnieg przestał padać, to i tak byli uwięzieni w Crescent Hill, ponieważ jej siostra nie miała się teraz w co ubrać.

- Iście wojskowy dryl! - stwierdził ze śmiechem Robin. - Bethany Sparhawk, odkrywa mi pani swoje nowe oblicze.

Bethany wzięła się pod boki i zamaszyście odwróciła w jego stronę. Naśladowała teraz własną matkę w momentach, kiedy chciała wymóc coś na otoczeniu, lecz zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego podobieństwa.

- W takim razie pana też nie będę oszczędzać. Czy Robin Howland zaprowadził już konie do stajni, czy raczej zostawił biedne stworzenia na mrozie?

- Nie, pani - podniósł rękę do czoła, żeby zaszalutować - ale zaraz się tym zajmę, tylko najpierw wyładuję wóz do końca, za pani pozwoleniem oczywiście.

Z daleka jeszcze słyszała jego śmiech i nie potrafiła już dłużej się martwić. Wiedziała wprawdzie, że myśl o spędzeniu nocy w Crescent Hill powinna ją przerażać, ale zamiast strachu czuła dziwne podniecenie, jak dziecko, które w wyobraźni wyrusza po wielką przygodę. To, co się działo, było nowe,

niespodziewane, a przez to trochę nierzeczywiste.

W spiżarni znalazła marchew, ziemniaki i suszony groch na zupe, który natychmiast namoczyła z cebulą. Przez moment zastanawiała się, czy nie napocząć wielkiej wędzonej szynki, którą przywieźli ze sobą. Plasterek czy dwa dodałyby zupie smaku, ale była pewna, że matka by jej tego nie wybaczyła. Tylko prawdziwy głód usprawiedliwiłby napoczęcie świątecznej szynki, a tutaj przecież mieli dosyć produktów, żeby przygotować posiłek. Robin mógł sobie żartować do woli, lecz zakaz dotyczył również pachnącego ciasta w koszyku.

Kiedy Rachel zeszła na dół opatulona w biało-czerwoną narzutę, a Robin wrócił ze stajni jeszcze rumiany od mrozu, Bethany mogła powitać ich garnkiem dymiącej czekolady. Rozbawiona myślą, iż oto jest tutaj panią domu, kazała im zasiąść przy stole. Jedno tylko budziło w niej bolesny niepokój - świadomość, że w najbliższy piątek obudzi się w domu Williama jako jego żona, a wtedy to już nie będzie zabawa.

- Prawie noc - powiedziała, patrząc, jak za oknem wirują grube płatki śniegu.
- Tak bym chciała dać znać do domu, że jesteśmy cali i zdrowi.

- Mama na pewno nie będzie się martwić. - Rachel wychyliła ostatni łyk czekolady ze swojej filiżanki. - Wie, że ty nigdy nie robisz nic niewłaściwego. Gdyby nawet wóz wpadł do rowu, znalazłabyś sposób, żeby go wyciągnąć, i to całkiem sama, byle tylko nie sprawić nikomu kłopotu. Mama ci ufa - przecież z Jerusą by mnie tu nie puściła. Z nią nie pozwoliłaby mi przejść nawet na drugą stronę ulicy.

- Nie opowiadaj głupstw, Rachel - mruknęła Bethany, zastanawiając się w duchu, co powiedziałyby mama, gdyby знаła jej myśli. Kiedyś nie miała wątpliwości, co jest dobre, co złe, co to lojalność, co miłość. Jak to możliwe, że wszystko tak się poplątało? - Musi się martwić, William zresztą też.

- Może o panią, ale na pewno nie o mnie. - Robin pragnął dodać Bethany otuchy, lecz długo ukrywana gorycz doszła teraz do głosu. Czuł jednak, że

postępuje nie całkiem uczciwie. Prowokował ją, zmuszał do tego, żeby zaprzeczyła.

- Prawdopodobnie nawet nie zauważył, że gdzieś zniknąłem, albo wyobraża sobie, że upijam się z ulicznicami w tawernie na Thames Street.

Współczucie widoczne w jej oczach rozlało się jak balsam po jego obolałej duszy. Gorycz zniknęła natychmiast i cieszył go ten stan, jakkolwiek miał świadomość, że nie ma prawa przychodzić do Bethany po pocieszenie. Droczył się z nią, uśmiechał, z przyjemnością obserwował jej pełne wdzięku ruchy, patrzył, jak blask świecy rozjaśnia jej włosy w kolorze miodu. Jednak to nie uroda pociągała go w niej najbardziej, lecz zrozumienie i dobroć.

Kochał ją. Boże, chyba całkiem zwariował, ale naprawdę ją kochał.

Rachel zachichotała i z głośnym mlaskaniem oblizwała swoją łyżeczkę.

- To by dopiero była heca, gdybyśmy wybrały się na Thames Street do tych ulicznic, prawda, Bethany? Ciekawe, co tatuś by na to powiedział.

- Jedno na pewno: że masz zbyt bujną wyobraźnię jak na dziewczynkę w twoim wieku - stwierdziła surowo Bethany i podniosła się, żeby zebrać ze stołu filiżanki. Musiała skarcić Rachel, która przekraczała już granice przyzwoitości, ale zrobiła to z trochę nieczystym sumieniem. Tego wieczoru wcale nie uważała się za wzór cnoty, przynajmniej nie w momentach, kiedy zatrzymywał się na niej wzrok Robina i zalewało ją dziwne uczucie gorąca. - Mam nadzieję, że potrafisz znaleźć bardziej odpowiedni temat do rozmowy. Kolację będziemy jedli nie wcześniej niż za dwie godziny.

- A więc mamy mnóstwo czasu dla Dafnisa, Chloe i naszego anioła z wysokości - ożywił się Robin. - Tak się złożyło, że odbyli tę podróż razem z nami.

Na najbliższe godziny kuchnia zamieniła się w teatr. W gabinecie na piętrze oraz na strychu wyszperali rekwizyty, które pozwoliły im urządzić prowizoryczną scenę. Ustalili, że marionetki będą występować na starym stole, odpowiednio podwyższonym, by wszyscy mogli dobrze widzieć, a z tyłu zawiesi się kurtynę, za którą ukryją się lalkarze stojący na krzesłach.

Po bokach umieszczono dekoracje autorstwa Bethany: wierzbę płaczącą, siedzącego na dzbanie pawia ze wspaniale rozłożonym ogonem, ruiny pogańskiej świątyni - wszystko bardzo malownicze, a jednocześnie odpowiednio starożytne w wyrazie. Obrazki zostały przyklejone do stołu za pomocą laku do pieczęci. Gałązki ostrokrzewu przeznaczone do ozdoby kominka zawisły na kurtynie; Bethany wiedziała, że w przeciwieństwie do szynki, tej straty matka nie będzie żałować. Żeby mieć prawdziwe światła rampy, Bethany posłużyła się ogarkami świecy, które przyklejała do czarek do deseru, przechylonych pod niewielkim kątem. Wszyscy troje byli dumni z wykonanej pracy i nie mogli się nadziwić, że aż tyle udało im się zdziałać. Co chwila któreś z nich stawało w pewnym oddaleniu, by przyrzeć się całości oczami przyszłego widza.

Ostatni raz drewniany pasterz i pasterczka powtórzyli swe role, od pierwszej sceny, kiedy to Chloe szuka owiec, które zawsze jej uciekają, aż do wielkiego finału, gdy anioł z namaszczeniem składa najlepsze życzenia świąteczne i noworoczne zebranej publiczności, Dafnis i Chloe zaś padają sobie w ramiona.

Rachel tak bardzo zależało na doskonałości tej ostatniej sceny, że domagała się nieustannego jej próbowania, mimo że z każdą chwilą traciła głos. Robin dla rozrywki powtarzał końcową kwestię z coraz większym patosem, aż Bethany, wyczerpana śmiechem, wypuściła z ręki Chloe, która z głuchym trzaskiem upadła na stół.

Tym razem jednak, zamiast żartować z nimi jak poprzednio, Rachel się rozplakała.

- Ty, ty wszystko potrafisz zepsuć. - Skulona na krześle, chlipała przyciskając do piersi hrabinę zamienioną w anioła. - Wszyscy goście będą ciekawi przedstawienia, a tobie jest obojętne, czy się uda, czy nie!

Bethany natychmiast zeszła ze swojego krzesła i opiekuńczym gestem objęła wstrząsane płaczem ramiona siostry.

- Naprawdę bardzo mi przykro, kurczaczku, nie wiedziałam, że to takie ważne

dla ciebie. Przrzekam, że w Wigilię i Robin, i ja zrobimy wszystko dokładnie tak, jak trzeba, a ty będziesz najwspanialszym aniołem na świecie.

Mając Rachel tak blisko siebie, Bethany poważnie się zaniepokoiła.

- Czy ty przypadkiem nie masz gorączki? - Położyła rękę na jej czole. - Od dawna jesteś taka rozpalona?

- Nie wiem. Myślałam tylko o powtarzaniu roli z tobą i z Robinem - odpowiedziała Rachel, zanosząc się kaszlem.

- Próba skończona - zdecydowała Bethany. - Marsz do łóżka.

Niewiele jednak pomogło rozniecenie ognia w sypialni, gorąca cegła włożona do łóżka i kilka kołder, którymi przykryto Rachel - dziewczynka ciągle skarżyła się na zimno, mimo że policzki miała gorące i suche. Nie chciała kolacji i wszystko wskazywało na to, że z każdą minutą jej stan się pogarsza. Kaszel, którego napady męczyły ją przez cały dzień, teraz przeszedł w charkotliwą duszność. Rachel z trudem łapała oddech. Bethany robiła co mogła, naciągała na nią zsuwające się kołdry, głaskała po twarzy, trzymała na piecu czajnik z gorącą wodą, ale nie opuszczało jej poczucie przerażenia i bezradności. Rachel była najwyraźniej bardzo chora i kiedy z płaczem zerwała się z łóżka, wzywając na pomoc matkę, Bethany świetnie ją rozumiała, bo też najchętniej znalazłaby się w tej chwili pod opiekuńczymi skrzydłami matki.

W tej trudnej chwili jedyną podporą Bethany był Robin. Z poświęceniem czuwał z nią przy Rachel i wsłuchiwał się w nierówny oddech dziewczynki, kiedy spała, lub zabawiał obie siostry opowieściami o życiu w Londynie, gdy Rachel się budziła.

Po kilku godzinach zabrakło drewna do palenia w piecu i Robin musiał pójść do drewnutni.

- Śnieg powoli przestaje już sypać - oznajmił ze spokojem, wróciwszy z naręczem świeżych szczap. - Spadło jednak co najmniej osiem albo dziewięć cali, naprawdę bardzo dużo. Nasz wóz musi tu zostać, dopóki to wszystko nie stopnieje,

ale założę się, że jutro o świcie pani albo mój ojciec przyjedzie po nas saniami.

Bethany potrząsnęła głową ze znużeniem.

- Możliwe, że to mama się tu zjawi, jeżeli oni nie będą mogli - powiedziała, szarpiąc bezwiednie brzeg swojego fartucha, bo oddech Rachel stał się jeszcze bardziej chrapliwy i świszczący. - Och, to wszystko moja wina!

- Nie ma tu niczyjej winy. Jak można mówić takie rzeczy?! - Robin położył rękę na jej dłoniach.

Spojrzała na niego nieszczęśliwym wzrokiem. Nie mogła przecież wyznać, że zależało jej na towarzystwie Rachel, bo nie miała do siebie dość zaufania, by zostać z nim sam na sam! Jakże samolubne wydawało się teraz tamto rozumowanie!

- Wiedziałam, że Rachel jest chora, a mimo wszystko poprosiłam, żeby pojechała z nami - wyszeptała.

- Bo chciała pani sprawić jej przyjemność tą wyprawą. Trudno upatrywać w tym coś złego - powiedział z przekonaniem. Domyślał się oczywiście prawdy, ale wypowiadając ją głośno, pogorszyłby tylko sytuację. - Ona wyzdrowieje. Przecież sam słyszałem setki razy, że każdy Sparhawk to twarda sztuka!

Zamilkł, wziął ją delikatnie za rękę i dodał po chwili:

- Może poczuje się pani lepiej, kiedy powiem, że znalazłem na mieście mieszkanie i przeniosę się tam na czas między waszym ślubem a moim odjazdem. Uznałem, że jako nowożeńcy nie będziecie mieli ochoty kłopotać się gościem, który siedzi pod waszym dachem.

Bethany opuściła wzrok, przez chwilę przyglądała się temu, co robił, po czym łagodnie zabrała dłonie. Miała ochotę powiedzieć, że będzie go jej brakowało, ale to znowu mogło stworzyć niezręczną sytuację, tak że w końcu wcale się nie odezwała.

- Kapitan Haskins zamierza wypłynąć we wtorek do Bristolu - ciągnął. - Zarezerwowałem już miejsce. W Bristolu wsiądę w dyliżans i dojadę do Londynu.

- Przykro mi, że na nic się zdały pańskie plany dotyczące ojca. - Bethany

starannie dobierała słowa. - On jest przekonany, że ani ze strony króla, ani parlamentu nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo.

- Siedzi w tym po uszy, co innego mógłby więc powiedzieć? - westchnął Robin.

- Setki innych rzeczy, które mogłyby zbliżyć was do siebie, ale tego, niestety, nie robi - stwierdziła ze smutkiem, przypominając sobie opowieść Williama o jego pierwszej żonie. - Myślę, że nie warto nawet żałować tego wspólnego wyjazdu. Czy naprawdę to takie ważne, by sprowadzać go do Londynu? Owszem, zobaczyłby na własne oczy, że dobrze się tam panu powodzi, mimo że on pana wypędził, ale co z tego?

- A więc to było aż tak widoczne? - Robin ze zdenerwowania walnął pięścią o kolano. - Czyli przejrzał mnie od samego początku...

- Wcale nie, nie wydaje mi się, by nawet teraz rozumiał, o co chodzi - zaprzeczyła łagodnie. - Ale on pana kocha. W to nie powinien pan wątpić.

- Tak, daje mi przecież rozczulające dowody tej miłości, prawda? Nie, nawet pani, Bethany, nie może tego zmienić.

Nigdy nie zdarzyło się jej widzieć mężczyzny w stanie tak głębokiego przygnębienia, no, może oprócz Williama, więc znowu zamarzyła dla siebie o roli pośredniczki, która zdoła pogodzić ojca i syna. Jak w ogóle doszło do tego, że wyrósł między nimi taki mur? Obaj byli dumni i nieustępliwi, a przecież jednemu ogromnie zależało na drugim.

Bethany odwróciła się w stronę Rachel, która spała niespokojnie, przytulając rozpalony policzek do wielkiej, białej poduszki.

- Tak czy owak - powiedziała półszepem - wszystko będzie dobrze.

Było całkiem ciemno, padał śnieg, a ona, przemarznięta do szpiku kości, nie mogła znaleźć drogi powrotnej.

Buty miała przemoczone, lód przywarł jej do spódnicy, zapadała się w zaspę.

Twarz ją piekła, wirujące płatki cięły po policzkach, wpadały do oczu, lecz uparcie parła naprzód, walcząc z coraz silniejszymi podmuchami wiatru, który rozwiewał jej włosy i wydymał płaszcz, jakby chciał ją porwać.

- Bethany, aniołku, gdzie jesteś? - doszło ją skądś wołanie Williama. - Chodź do mnie, najmilsza, chodź, tu będziesz bezpieczna!

- Williamie, tu jestem! - krzyknęła ile sił w płucach, ale zamieć zagłuszyła jej słowa. - Jestem tutaj!

- Nie widzę cię - usłyszała, ale tym razem głos był słabszy niż poprzednio. - Musisz tu do mnie przyjść.

- Już idę, poczekaj! - Dławiła się łzami, które od razu zamarzały jej na twarzy. - Musisz na mnie poczekać!

Obudziła się z krzykiem, mokra od łez, trzępiąc bezradnie rękami, którymi chciała dosięgnąć Williama.

- Cicho, Bethany, to tylko sen. - Robin wziął ją, ciągle drżącą, za rękę i przytulił mocno. - Naprawdę, to był tylko zły sen.

- Byłam zagubiona, zaskoczyła mnie zamieć, nie mogłam dojść do Williama - szlochała.

- Wcale nie jest pani zagubiona, moja miła - powiedział spokojnie i poklepał ją lekko po twarzy, żeby oprzytomniała. - Stoi pani solidnie na ziemi i jest bezpieczniejsza niż kiedykolwiek.

Jak przyjemnie było tulić się do niego, czuć na policzku szorstką wełnę jego płaszcza, słyszeć wręcz, jak bije mu serce, i poddawać się ruchom ręki, która przesuwiała się po jej karku. Ogarnęło ją wrażenie ciepła i spokoju. Była jeszcze na wpół śpiąca i wcale nie miała ochoty wychodzić z tego stanu. W końcu otworzyła jednak oczy i z westchnieniem odsunęła się od niego.

- Zasnęłam na siedząco - stwierdziła z przepraszającym uśmiechem, kierując to wyjaśnienie trochę do niego, a trochę do siebie samej. - Czy Rachel...

- Nie trzeba się o nią martwić. - Robin wskazał na łóżko, w którym spała Rachel. Leżała na prawym boku i oddychała już znacznie swobodniej. - Pani się zdrzemnęła, a jej w tym czasie spadła gorączka. Jestem pewien, że najgorsze już minęło.

Bethany przyklękła obok posłania siostry i dotknęła jej czoła.

- Bogu dzięki, chyba rzeczywiście czuje się lepiej - szepnęła.

- Przecież mówiłem, że ze Sparhawkami nie tak łatwo - roześmiał się Robin, po czym pomógł jej się podnieść. - Chodźmy, Bethany. Chciałbym coś pani pokazać.

Zaprowadził ją do holu. Zatrzymali się na półpiętrze, przy wysokim oknie zwieńczonym smukłymi łukami. Ciężkie chmury już zniknęły, odsłaniając czyste, atramentowe niebo, na którym jaśniały gwiazdy i blada połówka księżyca. W tym świetle świeże płatki śniegu skrzyły się jak diamenty, dosypane dla okrasy do białej pokrywy zaścielającej pełne jeszcze niedawno grud pola i wyboistą drogę. Wszystkie pagórki wydawały się teraz jednakowe i w harmonijnym paśmie zdawały się ciągnąć aż do rzeki, i dalej, do morza.

Bethany ostrożnie oparła ręce na zimnej szybie. Z pełnym zachwytem uśmiechem napawała się wspaniałym widokiem, w środku którego tak niespodziewanie się znalazła.

- Och, chyba nigdy jeszcze nie było tu tak pięknie - powiedziała cicho, malując palcem esy-floresy na oszronionym szkle. - Aż trudno uwierzyć w takie piękno.

- Nie ma nic piękniejszego od pani - usłyszała.

Zaskoczona, spojrzała na niego, nie mając prawie odwagi, żeby mieć nadzieję...

- Robinie, ja...

- Cicho, kochana, nie psuj tego - szepnął.

Nie rozumiała, co się dzieje, widziała tylko, że jego twarz zbliża się do jej

twarzy. Poczwała dotyk jego ust i zamknęła oczy. Jej ramiona jakby same uniosły się i oparły na jego piersi.

Całował ją powoli, najpierw delikatnie w dolną wargę, która była pełna i ciężka, aż z westchnieniem otworzyła usta. Fale gorąca zalewały ją z każdą chwilą, gdy jego język wciskał się coraz głębiej i głębiej.

Bethany zakreśliło się w głowie, zachwiała się i chwyciła go jeszcze mocniej.

Czuła, jak jego ręce przesuwaly się wzdłuż stanika sukni, szarpały fiszbinę gorsetu, aż dotknęły jej napiętych w oczekiwaniu piersi. Drżała, gdy je pieścił. Z niecierpliwością przechodzącą w otwarte pożądanie domagała się jego warg i wpiła się w nie w poszukiwaniu spełnienia. Nigdy w życiu nie zaznała nic podobnego i kiedy wyrwał się jej głośny jęk, było tak, jakby całe życie miało doprowadzić ją do tego jedyne go momentu, do tego jedyne go mężczyzny.

Ale Robin wiedział więcej niż ona, wiedział lepiej. Miał zamiar tylko ją pocałować, to wszystko. Chciał pocałunku, by zapamiętać go na zawsze. Jeden pocałunek nie wystarczył mu jednak, bo jak mógłby wystarczyć? Żadnej kobiety nie darzył dotąd podobnym uczuciem i pożądaniem, jakie budziły w nim inne, nigdy nie było tak intensywne, bezwzględne. Wystarczyłaby jeszcze chwila i już by się nie zatrzymał, lecz odezwała się w nim resztką świadomości. Oswobodził się z jej uścisku, odepchnął ją prawie.

- Bethany, najdroższa, nie mogę - powiedział ochryple, wiedząc, że musi walczyć z pokusą i za nią, i za siebie. - Oboje nie możemy.

Bethany potrzęsła głową, jeszcze cała rozpalona i oszołomiona. Nie docierało do niej znaczenie jego słów, nie pojmowała, dlaczego tak się zachowuje. Trudno było mieć jej to za złe. Zrozumienie równałoby się akceptacji tego, co zrobili.

Przyłożył palec do jej policzka i wodził nim powoli, naśladowując rysunek jej twarzy. Księżyc oświetlał ją jasno. Robin popatrzył jej w oczy i zobaczył, ile w nich cierpienia i lęku.

- William - wykrztusiła ledwie słyszalnym głosem. Podniosła rękę do policzka, którego on przed chwilą dotykał. - Niech Bóg się nad nami zlituje, Robinie, co myśmy zrobili?

Rozdział 9

Bethany stała ostrożnie na krześle ukrytym za domowej roboty kurtyną. Wszystko było gotowe do przedstawienia. Starła się nie poruszać marionetką z obawy, że w ostatniej chwili poskręcą się jej sznurki. Dwadzieścia siedem osób zjechało do Crescent Hill na kolację wigilijną i przewidziane potem tańce. Wszyscy należeli do rodziny, licznie rozsianej po całej kolonii. Teraz ci wujowie, kuzyni i ciotki czekali w holu na spektakl, gawędząc z ożywieniem, weseli, syci smakołyków, ciekawi atrakcji. Jutro będzie tu jeszcze gwarniej, ponieważ dołączą do nich zaproszeni na ślub przyjaciele i sąsiedzi - w sumie około pięćdziesięciu osób.

Patrząc na ten rozgadany tłumek, Bethany musiała przyznać, że nigdy jeszcze w Crescent Hill nie było tak uroczystej atmosfery. Girlandy z jedliny i ostrokrzewu wiły się wzdłuż balustrady i oplatały każdy obraz na ścianie, nad wejściem wisiały gałązki jemioly, piramidy pomarańcz na srebrnych paterach piętrzyły się na stołach i blatach kredensów. Powietrze było przesycone zapachem sosny i liści wawrzynu - tak pachniały perfumowane świece, które matka wyciągała tylko na Boże Narodzenie. Z salonu dochodziło ciche zawodzenie skrzypiec. To trzech irlandzkich grajków, na co dzień członków załogi kapitana Sparhawka, stroiło instrumenty. Po spektaklu miały przecież być tańce.

W pierwszym rzędzie zasiedli już rodzice i babka z jedną ze swych żyjących jeszcze sióstr. Jon trzymał na kolanach małego Jeremiaha, który zaczynał już się niecierpliwie, a honorowe miejsce na środkowym fotelu zajął William. Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, posłał jej promienny uśmiech i pokiwał

porozumiewawczo głową, jakby na znak, że wszystko pójdzie dobrze. Zmusiła się, by odwzajemnić ten uśmiech.

- Jest cudownie, prawda, Bethany? - zapytała szeptem Rachel, też już gotowa do przedstawienia. Oczy jej błyszczały, tym razem z przejęcia, a nie z gorączki, która odeszła równie szybko jak przyszła. - To chyba najbardziej udane święta w naszym domu!

- Na pewno najdumniejsze, ale czy najlepsze? - mruknęła Bethany.

Było jej przykro, że w ciągu ostatnich trzech dni wszyscy zdążyli już zauważyć jej zgaszony wzrok i brak entuzjazmu, ale nie umiała zapanować nad sobą.

- Mówisz tak, głuptasku, bo jutro wychodzisz za mąż i po prostu okropnie się boisz. - Rachel zrobiła błazeńską minę. - Jerusa powiedziała mi, że za rok będzie u nas o jedną osobę więcej, bo ty urodzisz dzidziusia.

- Rachel, przestań!

- Czy panie są gotowe? - Robin podszedł wreszcie do nich i wskoczył na ostatnie z trzech krzeseł ustawionych za kurtyną.

Nie zwlekając dłużej, postawił Dafnisa na scenie. Cień świecy, który padał mu na twarz, zdawał się wydłużać jego i tak zmęczone rysy. Przy wigilijnym stole nie odezwał się prawie do nikogo i jako jedyny mężczyzna nie wypił słynnego ponczu kapitana Sparhawka, w skład którego wchodził miejscowy rum, sherry, brandy, ubite jaja i śmietanka. Nawet nie umoczył w nim ust.

Zniknęło gdzieś pogodne usposobienie Robina, tak jak zdawkowa grzeczność zastąpiła nieśmiały uśmiech Bethany i jej skłonność do żartów. Od tej zimowej nocy sprzed trzech dni, która przyniosła im mękę i upojenie, wiedzieli, że nie mają wyboru. Ona poślubi Williama, on odpłynie do Anglii, a czas i odległość zetrą to, co zaszło między nimi, i wszystko będzie tak, jak gdyby nic się nigdy nie wydarzyło.

Jerusa stanęła obok sceny i cienkim stoczkiem pozapalała światła rampy,

czyli ogarki świecy w miseczkach do deseru. Publiczność zastygła w oczekiwaniu. Bethany rzuciła jeszcze pospieszne spojrzenie na Williama. Uśmiechał się spokojnie, a jego szczęście było tak oczywiste, że jej przepełnione poczuciem winy serce niemal przestało na chwilę bić. Boże, oddałaby wszystko, żeby cofnąć czas i poczuć się tak jak wtedy, kiedy obiecywała mu swą rękę!

- Przyszedł czas Bożego Narodzenia - zaczęła uroczyście Rachel, gdy jej anioł sfrunął na scenę i zatrzepotał złotymi skrzydłami. - Czas świętowania, wesela i wzajemnej miłości, który nastaje nawet dla śmiertelnych stworzeń bożych.

Dafnis przemierzył właśnie spokojnym krokiem całą szerokość sceny, podśpiewując sobie pod nosem. Jego piosenkę Robin ułożył specjalnie na tę okazję, a była ona czymś pośrednim między ptasim śpiewem i miauczeniem kota. Przez widownię przeszła fala śmiechu. Działając po tygodniach prób prawie jak automat, Bethany natychmiast wysłała Chloe na jego spotkanie. Piskliwy głosik pasterki wyrażał taki entuzjizm, że jeden z braci Bethany, porwany ogólną wesołością, pozwolił sobie nawet krzyknąć nieprzyzwoitą uwagę.

Następujące kolejno wybuchy śmiechu i głośny aplauz doprowadziły do tego, że Bethany już tylko grała, zapominając o napięciu, żalu, niepokoju. I jej, i Robinowi szło lepiej niż w czasie którejkolwiek próby, po prostu dwoili się i troili. Zapal Dafnisa osiągnął taki stan, że rozochocony pasterz wpadł na świątynię z kartonu i przewrócił ją, grzebiąc na chwilę pod jej ruinami biedną pasterkę.

Wreszcie anioł wygłosił ustami Rachel końcowe przemówienie, złożył wszystkim życzenia, Dafnis i Chloe zaś odtańczyli wielki finał. Dafnis podniósł rękę do serca, lecz wtedy zamiast zwariowanej, pompatycznej deklaracji, podobnej do innych jego wrzasków, rozległy się tylko dwa słowa wypowiedziane prawdziwym głosem Robina:

- Kocham cię.

Oniemiała Bethany dopiero po chwili odważyła się rzucić Robinowi niespokojne spojrzenie. Wyglądał trochę niesamowicie, ponieważ świece rzucały

od dołu cienie na jego twarz. Popatrzyła mu w oczy i nie miała już wątpliwości. Dotąd mówił jej, że jest mądra, rozsądna, piękna, ale nigdy jeszcze nie powiedział, że ją kocha.

- Ja też cię kocham - odpowiedziała jednym tchem, zapominając o Chloe, która zawisała bezwładnie nad sceną. - Och, jak bardzo cię kocham!

Zaszokowana sala umilkła. To była ciężka, brzemienna cisza. Tylko dwuletni Jeremiaś odważył się ją przerwać swą dziecięcą paplaniną.

- Już poszły? - zapytał rozczarowany, wiercąc się ojcu na kolanach. - Wszystkie lale już sobie poszły?

William poderwał się na równe nogi i zaczął klaskać ze wszystkich sił.

- Nie, chłopaczkę, nie poszły, tylko już skończyły. Ale za to jak pięknie grały! Nikt się nawet nie domyślał, że pasterz z pastereczką będą na końcu tacy szczęśliwi, co? Rachel, Bethany, Robin! Chodźcie no do światła, pokażcie się wszystkim! Niechże wam się przyjrzymy, zanim zaczniecie występować przed królem, bo jestem pewien, że gdy świat usłyszy o tym przedstawieniu, będą was wszędzie zapraszać.

Pozostali widzowie z wyraźną ulgą poszli w jego ślady, urządzając im prawdziwą owację z brawami, tupaniem, wywoływaniem aktorów. Rachel pierwsza wyrwała się z szeregu i pobiegła po indywidualne gratulacje, najpierw do Williama, któremu nadstawiła policzek do pocałowania, a dopiero potem do rodziców. Za chwilę, już znacznie wolniej, w stronę Williama ruszyła Bethany. Otworzył przed nią szeroko ramiona, a ona szła ze sztywnym uśmiechem i wzrokiem wlepionym w chustkę, którą miał na szyi. Nie śmiała mu spojrzeć w twarz.

- Anny-Beth, chyba jeszcze nie śpisz?

- Oczywiście, że nie. Wyobrażasz sobie, że będę mogła dziś zasnąć? - mruknęła Bethany.

- Słyszysz? Zegar dopiero bije dwunastą. Wesołych Świąt, siostrzyczko - powiedziała serdecznie Jerusa.

- Wesołych Świąt, moja kochana.

Na chwilę zapadła cisza trudna do zniesienia, bo pełna słów cisnących się na usta, których jednak żadna z nich nie miała odwagi wypowiedzieć.

Udręczona Bethany oddychała ciężko, myśląc z rozpaczą, że oto przyszła ostatnia noc, jaką spędza wspólnie z siostrą.

- Powiedz, będziesz szczęśliwa, prawda? - zapytała wreszcie Jerusa. - Będziesz z Williamem szczęśliwa?

- To dobry człowiek, wiesz o tym, no i troszczy się o mnie.

- Ale co z tobą w tym wszystkim, Bethany? - Potrząsnęła nią gwałtownie Jerusa. - Może William dał się dzisiaj oszukać, zapewniam cię jednak, że inni nie. Jak w ogóle możesz myśleć o poślubieniu go, jeżeli naprawdę kochasz Robina?

- Mogę, bo William poprosił mnie o rękę, a ja powiedziałam tak - wyjaśniła bezbarwnym głosem, dyktowanym przez wolę, ale nie przez serce, które tłuło się tak mocno, jakby chciało rozerwać jej pierś. Właściwie dziwiła się, jakim cudem jeszcze tak się nie stało. - William widział to samo co inni, ponieważ jednak dba o moje dobro, odegrał dzisiaj tę komedię. Czy wyobrażasz sobie, że mogłabym zranić takiego człowieka?

- Nawet za cenę swojego cierpienia? A co zrobi ten nieszczęsny Robin, zastanowiłaś się nad tym?

- Robin wróci do Anglii. Ja natomiast będę żoną Williama, tak jak przyrzekłam.

- Och, Anny-Beth. - Jerusa znalazła pod kołdrą rękę Bethany, zupełnie lodowatą, i splotła swe palce z jej palcami. - Jesteś pewna tego wszystkiego?

- Oczywiście, że jestem pewna. Przecież nie wolno mi pozwolić sobie na wątpliwości. Czyż mogłabym nie znaleźć szczęścia, mając za męża kogoś takiego jak William?

Jerusa westchnęła zrezygnowana.

- Modlę się, żebyś miała rację. Kiedy ja wyjdę w czerwcu za Toma, będę szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem.

- Na pewno. - Gorące łzy spłynęły po policzkach Bethany. - Przecież nie mogłoby być inaczej.

Kiedy przyszedł ranek, Bethany udała się do sypialni rodziców, gdzie czekała już na nią matka, i tam ubierała się z jej pomocą. Z dołu dochodziły gromkie śmiechy ojca, braci i gości, zaproszonych na późne śniadanie. Już za kwadrans, równo o jedenastej, zejdzie po schodach wsparta na ojcowskim ramieniu, potem upłynie jeszcze trochę czasu i w południe nie będzie już Bethany Sparhawk. Zastąpi ją, na zawsze i nieodwołalnie, osoba, o której będzie się mówić „pani Williamowa Howland”.

W sypialni stało ozdobne, wysokie lustro. Podeszła do niego na koniec, by włożyć do uszu kolczyki z pereł i opali - następny drogi prezent od Williama. Jej ślubna suknia miała bardzo prosty krój, z jedną jedyną falbaną na dole, żeby nie obciążać niewysokiej sylwetki panny młodej. Materiał za to był piękny i bogaty - na tle kremowego jedwabiu rozpościerał się wzór w drobne kwiaty z adamaszku. Wybrały go z matką po długim namyśle.

Chyba w całym Newport nie było elegantszej tkaniny, no, może w następnej dostawie coś by się znalazło, ale ta przecież miała nastąpić dopiero za sześć tygodni. Fryzurą z dużym znawstwem zajęła się Jerusa. Najpierw powyciągała ze ścinków tego jedwabiu błyszczące nitki i wplotła je, żeby dodać włosom połysku, potem zaczesła je do tyłu i upięła luźny węzeł, ozdobiony zielonymi wstążkami i gałązkami jemioli, na których bielilo się mnóstwo drobnych jagód. Bethany niemo wpatrywała się w postać w lustrze.

Czy ta kobieta przebrana za pannę młodą to naprawdę ona?

Matka stanęła za nią i skrzywiła się krytycznie. Zaczęła poprawiać fałdy sukni, tu wcisnęła sztywny materiał do środka, tam go rozpostarła, aż wreszcie odetchnęła, zadowolona z efektu.

- Jesteś prześliczną panną młodą - powiedziała miękko. - Twój William będzie całe życie pamiętał, jak wyglądałaś dziś rano.

Ujęła Bethany za nadgarstek, żeby zawiesić na nim bransoletkę ze złota i pereł.

- To dla ciebie, moje maleństwo, żebyś miała pamiątkę od swojej mamy. - Poklepała ją po ręce. - Wiesz, że twój dziadek podarował mi dwie takie bransoletki w dniu mojego zamążpójścia. Pomyślałam, że będzie najsprawiedliwiej, jeżeli ty dostaniesz jedną, a Jerusa drugą, kiedy będą pobierali się z Tomem.

Bethany oglądała klejnot ze spuszczoną głową. Była wdzięczna matce za czułość i hojność, ale myślała z goryczą, że nie zasługuje ani na jej piękny prezent, ani na tego dobrego, szlachetnego mężczyznę, który czeka właśnie na dole i za chwilę zostanie jej mężem. Podniosła rękę do ust i wpiła się w nią zębami aż do bólu, żeby powstrzymać szloch.

- No, moje dziecko, nie miałam zamiaru doprowadzać cię do płaczu. - Mariah otoczyła ją mocno ramieniem. - Może pocieszy cię fakt, że chyba wszystkie panny młode znajdują powód, by uronić kilka łez.

Bethany pokręciła tylko głową i nabrała głęboko powietrza. Wiedziała, że nie może zacząć płakać, bo gdyby zaczęła, łzom nie byłoby już końca.

Nie musiała jednak nic mówić - matka i tak wszystko wiedziała.

- To nie jest takie proste, prawda? - Mariah westchnęła ciężko. Niby to się uśmiechała do córki, ale widać było, że jest bardzo zatroskana. Wreszcie przemówiła otwarcie: - Bethany, nie musisz tego robić, przynajmniej nie dzisiaj. Ojciec może porozmawiać z Williamem, goście po prostu się rozejdą, a my spędzimy normalne święta we własnym gronie.

- Ja nie mogę, mamusiu! - zawołała Bethany łamiącym się głosem. - Nie mogę!

- Nikt nie będzie cię zmuszał, byś wychodziła za mąż wbrew swojej woli, Bethany. To nic, że masz już suknię, dostałaś prezenty, że przyszli goście - twoje

szczęście jest najważniejsze.

- Nie mogę w ten sposób potraktować Williama!

- Lepiej być przez tydzień obiektem plotek niż zmarnować życie i sobie, i jemu. Jeżeli serce ci mówi, że nie kochasz Williama tak jak powinnaś...

- Ale ja muszę! Nie przyjąłabym jego oświadczeń, gdybym nie chciała, a w tej chwili zamierzam być dla niego najlepszą żoną na świecie.

Mariah wcale nie była przekonana o szczerości tych słów.

- W ostatnich dniach zastanawiałam się nieraz, czy Robin Howland nie próbował przypadkiem zająć w twoim sercu miejsca przeznaczonego dla jego ojca - powiedziała, patrząc badawczo na córkę.

- Robin za bardzo kocha ojca, by popełnić tak niski i haniebnny czyn. - Bethany zupełnie nie panowała nad swoim głosem, który przypominał teraz kwilenie jakiegoś biednego ptaszka.

Po wczorajszym przedstawieniu nie zobaczyła już Robina, zresztą nikt go już więcej nie widział. Po prostu zniknął z domu i rozplątał się gdzieś wśród ciemnej nocy. Pomyślała sobie, że może dobrze się stało i że najlepiej, by się już nie pokazywał, tylko opuścił Newport jak najprędzej. Dobrze, lepiej, słusznie, najwłaściwiej - nieustannie powtarzała w myślach te słowa, ale nie mogła w nie uwierzyć.

- Nawet dżentelmen może zachować się jak drań - stwierdziła ze smutkiem Mariah. - Czasem uczucia nie dają człowiekowi wyboru.

Bethany pokręciła bezradnie głową. Mimo wspaniałej sukni wyglądała teraz jak mała dziewczynka, bo z rozpaczki zgarbiła ramiona i cała jakby się skurczyła.

- To wykluczone w przypadku Robina. On we wtorek odpływa do Londynu. Zdziwiłabym się, gdyby jeszcze kiedykolwiek tu wrócił. Co do mnie zaś, nigdy nie pozwoliłabym sobie stanąć między ojcem a synem.

- Och, dziecino - szepnęła Mariah. - Sama wyznaczasz sobie bardzo trudną, ciernistą ścieżkę.

- Czy mogę postąpić inaczej, mamó? - Bethany przełknęła ślinę, ciągle

walcząc z łzami. Nie mogła już dłużej znieść tej rozmowy, oczyma błagała matkę o zrozumienie. Usiłowała odwrócić myśli od Robina, od tego, że już go nigdy nie zobaczy, a matka jej o nim przypominała. - Nie potrafiłabym z rozmysłem zranić Williama. Przecież tego właśnie uczyliście mnie z ojcem - żebym była dobra i uczciwa.

Mariah, sama bliska płaczu, uznała, że nic już tu nie poradzi. Postanowiła uznać rację córki i tylko mocno przycisnęła ją do serca. Matczyne uścisk, dobrze znajomy zapach, wspomnienie chwil, kiedy te ramiona były w stanie dać poczucie bezpieczeństwa i chronić przed wszelkim złem, wszystko to spowodowało, że Bethany znów miała oczy pełne łez. Teraz przecież całe jej życie się zmieni, teraz będzie przede wszystkim żoną, a córką dopiero na drugim miejscu. Skończy się jej zależność od matki, tak jak skończą się momenty poufałości i zwierzeń. Nic już nie będzie takie jak przedtem.

- Czas, żebyś już zeszła, Bethany. - Drzwi otworzyły się i stanął w nich ojciec. Zegar na dole wybijał właśnie godzinę. - No, pośpiesz się. Nie możesz się spóźnić na swój własny ślub.

- Cicho, Gabrielu - syknęła na niego żona. Jeszcze raz uścisnęła Bethany, przy okazji wkładając jej do ręki chusteczkę. - Pozwól biednemu dziecku się uspokoić.

Bethany wyprostowała ramiona i przytknęła chusteczkę do oczu. Nie wyczytają nic z jej twarzy, nie dowiedzą się o jej udreće. Będzie radosną panną młodą, na jaką zasłużył sobie William, i zrobi wszystko, by zapomnieć, że to dopiero pierwszy dzień życia złożonego z pozorów i udawania.

Zmusiła się do uśmiechu i chwyciła ojca pod ramię.

- Chodźmy. Jestem gotowa, tato.

Uśmiech na twarzy ojca był szczery, przepełniony miłością i podziwem.

- Gdybyś wiedziała, jaki jestem z ciebie dumny! Mam nadzieję, że ten twój pan młody zdaje sobie sprawę, co za klejnot mu powierzam.

- Na pewno. - Mariah ostatni raz pocałowała Bethany w policzek. - A jeżeli

nie, to będzie miał ze mną do czynienia.

Bethany wiedziała jednak, że rodzice w żaden sposób nie mogą jej teraz pomóc. Skupiła wszystkie siły, by w ogóle posuwać się do przodu i stawiać jedną stopę przed drugą. Szła z determinacją, stukając obcasami obciążonych jedwabiem pantofelków.

Goście patrzyli ciekawie, gdy przechodziła obok nich, wymieniali komentarze, szeptali coś, jedni ciszej, drudzy głośniej. Nie rozróżniała twarzy, na wpół tylko świadoma tego, co się działo. Nagle wyrósł przed nią pastor Carter, który trzymał w ręku wielki modlitewnik przeznaczony na specjalne uroczystości, już otwarty na odpowiedniej stronie. Wiedziała, że obok niego powinien być William i poszukała go oczami.

Uśmiechał się, ale nie był to entuzjastyczny, radosny uśmiech, którego się spodziewała, a raczej słodko-gorzki grymas, wyraz jakiejś melancholii pomieszanej z żalem i smutkiem. Trudno było inaczej to odczytać i Bethany zapewne zmartwiłaby się bardzo i zaczęła zastanawiać, gdyby nie zauważyła w tej samej chwili Robina.

Na litość boską, czyż on naprawdę musiał tutaj przyjść? Stał po prawej stronie ojca, ubrany w królewski błękit. Pięści miał zaciśnięte, jego zazwyczaj pełna uroku twarz była tym razem zupełnie pozbawiona wyrazu, jak maska, i tylko oczy powiedziały Bethany więcej niż kiedykolwiek usłyszała od niego.

Zaskoczona obecnością Robina, nie mogła zapanować nad drżeniem. Gdyby nie ojciec, na którego ramieniu się opierała, zemdlałaby. Musiała natężyć całą uwagę, by patrzeć na pastora Cartera i słuchać słów, które właśnie zaczął wygłaszać.

- Moi drodzy, zebraliśmy się tutaj, by w obliczu Boga i całego zgromadzenia połączyć świętym węzłem małżeńskim tego mężczyznę i tę kobietę.

Czy to ciągle jeszcze ona, a nie jakaś obca osoba? Przed chwilą z trudem rozpoznała się w matczynym lustrze, a teraz była coraz bardziej przekonana, że to

wszystko nie może jej dotyczyć. Tego mężczyznę, tę kobietę - o kogo im chodziło? Szumiało jej w głowie, ogarnęła ją panika.

- ... by przez nierozwagę albo lekkomyślność...

Wiązała się z Williamem, bo miała po temu ważne, szlachetne, niepodważalne powody. Skąd w takim razie tyle w niej było zwątpienia, dlaczego tak okrutnie cierpiała?

- ... gdyby którekolwiek z was wiedziało o przeszkodach, dla których nie możecie być sobie poślubieni, niech powie to teraz...

Nie mogła tego zrobić. Nie mogłaby nigdy kochać Williama tak jak Robina i nie wolno jej było tego robić. Należało się zatrzymać, zanim popełni najgorszy błąd w swoim życiu, zanim...

- Proszę wybaczyć, ale musimy przerwać.

Bethany zamarła. Przecież to nie jej głos, choć właśnie te słowa sama chciała powiedzieć. To był głos Williama.

Ojciec szarpnął się gwałtownie, aż zabolalo ją ramię, i skoczył w stronę Williama.

- Co pan przez to rozumie, sir? - zawołał.

- Nie mogę poślubić pańskiej córki, kapitanie - powiedział z przygnębieniem William, a Bethany pomyślała, że jego głos jest równie smutny jak jego mina. - Kiedy się jej oświadczałem, wydawało mi się, że pasujemy do siebie. Pańska córka to urocza panna, nadal mam dla niej dużo czułości i nadal uważam, że moglibyśmy żyć razem w zgodzie i harmonii. Prawda jest jednak taka, że nie potrafię dać jej tego rodzaju miłości, który jest potrzebny młodej osobie, a ponieważ szczerze pragnę jej szczęścia, nie będę samolubnie udawał czegoś innego.

Goście zaczęli niespokojnie szeptać, z trudem powstrzymując się od głośnych uwag. To nawet nie był zwyczajny skandal - to była historia, którą będzie się opowiadać w okolicy przez całe lata.

Robin z osłupieniem wpatrywał się w ojca i usiłował nadać jakiś sens temu,

co usłyszał. A więc ślubu nie będzie. Ojciec powiedział w obecności wszystkich zebranych, że nie kocha Bethany tak jak powinien i że wobec tego nie może się z nią ożenić. Czy to właśnie z tego powodu tak bardzo nalegał tego ranka, żeby Robin przyszedł na ślub, i wygrażał pięścią, kiedy ten odmawiał? Pastor Carter miętosił w palcach zakładkę do modlitewnika, patrząc niepewnie to na pana młodego, to na ojca panny młodej.

- Wnioskuje, że ceremonia dziś się nie odbędzie, czy tak, panowie?

- Wcale tego nie powiedziałem, czy ktoś słyszał coś podobnego? - pospiesznie wyjaśnił William. - Oświadczyłem tylko, że ja nie mogę uczynić tej młodej damy szczęśliwą jako małżonek, ale to wcale nie znaczy, że ktoś inny nie da jej szczęścia.

Nie czekając już na żaden komentarz, podszedł do Bethany.

- Wczoraj wieczorem powiedziałaś wobec wszystkich obecnych tu i dzisiaj osób, że kochasz mojego syna. Czy to tylko lalka tak mówiła, czy ty sama?

Bethany pękały skronie, w ustach nie miała kropli śliny.

- To ja powiedziałam, od siebie - wyznała ledwie słyszalnym szeptem. - Przykro mi, Williamie, ja...

- Nie, moja panno, nie przepraszaj. - Odwrócił się w stronę Robina, kiwając na niego niecierpliwie. - Twoja kolej. Wczoraj wyznałeś publicznie Bethany, że ją kochasz. Czy powtórzysz to teraz?

Robin spojrzał na Bethany. Była taka malutka i drobna w strojnej sukni panny młodej, i niewyobrażalnie piękna, i najdroższa. Oczywiście, że ją kochał, od niepamiętnych czasów, od zawsze.

- Tak, ojczy, powtórzę. Kocham cię, Bethany Sparhawk.

- No to na co jeszcze czekasz, synu? Masz tu narzeczoną, pastora, świadków i tyle ciastek, że szwadron wojska by się wyżywił.

Twarz Williama nagle się rozjaśniła, głos złagodniał, jakby w tej chwili zdecydował się pokazać światu swoją ojcowską miłość, tak długo skrywaną.

- Daję ci na te święta najpiękniejszy prezent, jaki mógłbyś sobie wymarzyć -

dodał już prawie wesoło. - Pozostaje ci tylko wziąć go sobie.

Bethany wstrzymała oddech, gdy zobaczyła, jak Robin podchodzi do niej i klęka na jedno kolano.

- Czy zechcesz zostać moją żoną?

Nie umiała już być powściągliwa. Natychmiast wyciągnęła do niego obie ręce.

- Tak, Robinie - wyszeptała mu do ucha, gdy wstał i ją objął. - Tak, tak, tak!

William chrząknął z zadowoleniem i zwrócił się do pastora:

- Proszę ich pobłogosławić. Tylko na to czekają.

- Mam poważne obiekcje, panie Howland - zaprotestował duchowny. - Nie można tak po prostu zamienić pana młodego. Najpierw trzeba dać na zapowiedzi, potem...

- Ale przecież mamy Boże Narodzenie, drogi pastorze - rozległ się tubalny głos kapitana. - Jesteśmy w moim domu i jeżeli moja córka pragnie poślubić dzisiaj tego młodego człowieka, to proszę się nie przeciwstawiać.

Pastor nie oponował już dłużej.

Kiedy ogłosił ich mężem i żoną i Robin całował Bethany na oczach wszystkich, mała gałązka jemioly wypadła z jej włosów.

- Och, jakże ja cię kocham - powiedziała przepelniona szczęściem, którego jeszcze przed chwilą nie spodziewała się zaznać.

- Wesołych Świąt, najmilsza - wyszeptał. - Wesołych Świąt.

